I.1.46.

A. KALLAS

# NĘDZA

DRAMAT W 3 AKTACH.

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA
WARSZAWA — E. WENDE I Ska
1905

# NĘDZA

Miłemu Koledze po fachu
Redaktorowi Władysławowi Wasowiczowi
A. Kallas

A. KALLAS

# NĘDZA

DRAMAT W 3 AKTACH.

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA
WARSZAWA — E. WENDE I SKA
1905

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018601808

WOBEC SCEN
PRAWA MANUSKRYPTU ZASTRZEGA SOBIE AUTOR.

BIBLIOTEKA NARODOWA
BN
I 1.463.112

CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO.

1984 K 1367/35

*Ludwikowi i Irenie Solskim*

OSOBY:

OJCIEC
MATKA
CIOTKA
MARYNIA
ZOSIA
OLEŚ
LUNIA.

# AKT PIERWSZY.

*Scena przedstawia dość obszerną kuchnię, przedzieloną na całą szerokość kolorową firanką. W głębi, za tą przedzieloną połową kuchni, drzwi prowadzą do sieni. Ta druga połowa przestrzeni w głębi — to niby przedpokój. Na lewo drzwi do pokoju. Ale cała uwaga widzów skupia się na tem, co dzieje się w kuchni. Tu, nietylko gotuje się nędzna strawa dla tych biedaków, których dziwne przeznaczenie losu skupiło razem w jednę rodzinę — oni tu w zimie spędzają wszystkie chwile dnia, wolne od pracy. Tutaj także, na tapczanie, śpi Ojciec. Tam, w sąsiednim pokoju, stoją staroświeckie meble (garnitur kryty zielonym, wypłowiałym rypsem) «na pokaz». Ten pokój mieści w tylnej ścianie niszę, a w tej niszy umieszczono łóżka. Ale o tem w drugim akcie. Pora obiadowa. Właśnie Matka nakryła w kuchni stół i podaje w wazie kartoflaną zupę. — Siedzą przy stole: Zosia — Oleś — Lunia.*

⊙ ⊙ ⊙

## SCENA I.

MATKA — OLEŚ — ZOSIA — LUNIA.

MATKA

Biedna Marynia!.. Przyjdzie zmęczona do domu, a tu — Boże mnie skarz — ale taki obiad, że chyba już u najgorszych nędzarzy...

OLEŚ

Na wsi, u biedaków, przez cały rok nie jadają lepiej. Trzeba się przyzwyczaić do jaknajmniejszych potrzeb.

ZOSIA

A cóż to Marynia z lepszej, niż my, ulepiona gliny?

MATKA

Wyście już zahartowani. Ale ona, biedactwo, nie do takiego życia się chowała.

LUNIA

Mnie wszystko jedno co zjem, bylem nie była głodna.

MATKA

Dają ci jeść, to jedz!..

OLEŚ *do Luni.*

Nic jeszcze nie zarabiasz, a zatem: nie masz tu głosu.

LUNIA

Gdyby mama i Marynia pozwoliły, tobym wieczorami sprzedawała na ulicy gazetki.

MATKA

Wykapany tatuś!.. Ambicyi ani za grosz!..

LUNIA

To daj mi mama na wszystko, co potrzebuję.

MATKA

O, to wiem!.. Dobrze żyć, tobyście chcieli!..

ZOSIA

Takie życie! — — Gdy mi już tego zawiele będzie, pójdę, gdzie mnie oczy poniosą, a tu, w domu, nie zostanę. Pracować i nic z tego nie mieć! — —

MATKA

Pracujesz, żebyś miała co zjeść i dach nad głową i w co się odziać.

ZOSIA

Dość dużo! moje koleżanki i na teatr mają i na zabawę — —

MATKA

O, ja wiem!.. Ty-byś się bawiła!..

ZOSIA

Młoda jestem! Chcę żyć.

MATKA

Marynia więcej od ciebie zarabia, a nie wyrzeka.

ZOSIA

Nie chcę się na nią zapatrzyć. Starą panną zostać nie myślę!

MATKA

Ej, Zośka!.. bo ty niedobrze skończysz! — Ale wiedz o tem, że dopóki ja żyję — —

ZOSIA

Oho!.. Już się zaczyna kłótnia.

LUNIA

To na deser: dla lepszego strawienia kartoflanej zupy.

MATKA

Nawet w grobie spokoju mieć nie będę. — Skąd te myśli do nich? — Dlaczego nie bierzecie sobie przykładu z Maryni?

ZOSIA

Już mamie powiedziałam, że nie chcę zostać starą panną.

MATKA

Zamknij buzię i lepiej nic nie mów. — — Na starszą siostrę. — — Marynia szczęśliwszą jeszcze być może, aniżeli ty, chociażeś młodsza i ładniejsza.

ZOSIA *po chwili*

Zostawiła mama obiad dla ojca? — Bo jak on przyjdzie, to znowu zacznie się kłótnia. *Po chwili.* Pewnie go mama przed samym obiadem wygnała z domu. —

MATKA

Ja go wygnałam? — Nie zna jeszcze swojego tatusia! — Goni tam i napowrót po tych piętrach! — Tam i napowrót — trzydzieści razy na godzinę! — Do góry — na dół! Byle buty drzeć. — Nie zapracował na nie, więc i nie szanuje.

ZOSIA

Gdyby mu mama nie dokuczała, toby tu siedział. Ciągle się mama z nim kłóci.

MATKA

Ja się z nim kłócę, czy on ze mną?.. — Lunia — powiedz: kto zaczął: ja, czy on? —

OLEŚ

Wzajemne, uporczywe dogryzanie sobie! — Inni ludzie, skoro mają zmartwienie, czy jakąś moralną bolączkę, to nie wywlekają tego ciągle na porządek dzienny. — Tu, jedno i to samo przez cały Boży dzień! — Na śniadanie, na obiad, na kolacyę — nawet wówczas, kiedy się spać kładziemy. *Wstaje od stołu i zaczyna deklamować:* „Kobieto, puchu marny!“

ZOSIA

*nie zważając na deklamacyę Olesia, mówi do Matki*

Oleś ma słuszność. Nie da nam mama zjeść spokojnie tego mizernego obiadu.

MATKA

Zarabiasz na lepszy? Zabierz owe ośm koron, które dostajesz tygodniowo za szycie — i wyżyj za nie! Niech cię kto trzyma na stancyi za te pieniądze i da ci jeść i ubrać się w co. — No, czemu nie idziesz?

ZOSIA

Pójdę! Żeby mama wiedziała o tem — tak pójdę!

LUNIA *do Olesia*

Olek, zagraj tę scenę ze „Zbójców“.

OLEŚ *deklamuje w głębi.*

ZOSIA

Waryat! – Niech mu się mama przypatrzy – – o – !..

MATKA

Olek!.. Co ty wyprawiasz? Upamiętaj-że się! – Olek – czy zwaryowałeś? —

ZOSIA
*przyskakuje do Olesia*

Przestaniesz, czy nie?

OLEŚ
*staje przed Zosią i «robi» scenę ze sztuki Kor.*

„Książe! – Pohamuj wściekłość, co – nozdrzami parska!"

ZOSIA

Aktor!.. — Matury nie zda i do aktorów ucieknie.

MATKA

Olek... na miłość Boską... to już z ciebie nic nie będzie?

OLEŚ *z parodyą, płaczliwie*

Do aktorów!.. do aktorów ucieknie — —
*Odchodzi w głąb i zaczyna deklamowac.*

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

ZOSIA

Nawet wytchnąć tu nie można. *Ubiera katankę i kładzie na głowę kapelusz.*

MATKA

Już idziesz?.. Zaczekaj-że — —

ZOSIA

A cóż tu będę siedziała? — Tu dom waryatów! — Czy mam słuchać, jak Olek wydziwia?!.. Całuję rączki mamie!

MATKA

Bądź zdrowa! — A nie wracaj znowu tak późno.

ZOSIA

Zamykają magazyn o ósmej.

MATKA

Jeszcze cię kto zaczepi — —

ZOSIA

Nikt mnie nie porwie. A choćby i porwał! —

MATKA

Nie pleć! — nie! — —

ZOSIA

A... bo mi się tu życie przykrzy! — — *Przechodząc koło Olesia.* Waryat! — *Wychodzi.*

## SCENA II.

MATKA — OLEŚ — LUNIA.

MATKA

*do deklamującego wciąż Olesia*

Olek!.. Czy przestaniesz? — Waryacie — upamiętaj się! — —

LUNIA

Mamo, czy zebrać ze stołu?

MATKA

Postaw talerze do cebrzyczka i złóż obrus. — Zamknij drzwi.

LUNIA

Tata zaraz przyjdzie.

MATKA

A jakże, zostawię mu obiad! Jeszcze czego! Zamknij drzwi.

LUNIA

Już zamknięte.

MATKA

*gdy po chwili odzywa się silne, uporczywe pukanie do drzwi w głębi*

O, idzie już ten dziad! — Jak to puka! — — Nie tłucz się tak! *Idzie ku drzwiom w głębi,*

*rozsuwając firanki.* Już ci otwieram — już! — *Otwiera drzwi i wpuszcza Ojca, spoglądając na niego złem spojrzeniem.*

OLEŚ

*zawdziewa płaszcz — bierze czapkę.*

Idę na lekcyę. *Wychodzi.*

## SCENA III.

OJCIEC — LUNIA — MATKA.

OJCIEC

*jeszcze przy drzwiuch w głębi*

Jak się to zamykają!... Państwo!... Wielmożne państwo!... Co wy się tak zamykacie? *Idzie do pieca tak jak był wszedł: w palcie, u którego kołnierz podniesiony, w czapce na głowie, zgarbiony, ręce w kieszeniach palta. Po chwili zagląda do garnków, ogrzawszy wpierw ręce nad blachą.*

MATKA

Niema dla ciebie obiadu...

OJCIEC

Ano, jak niema, to nie! *Odchodzi od pieca i znowu wraca.*

MATKA

Dzieci nie będą na ciebie pracowały! – – Odejdź od pieca! *Po chwili, gdy ojciec przechadza się po kuchni*: Nie chodź mi tak po kuchni, jak aresztant po celi! – W głowie mi huczy od tych kroków! – – –

OJCIEC

Gadaj – – gadaj – – – *Siada w kącie przy piecu i grzeje ręce nad blachą.*

MATKA *po chwili*

I na cóż czekasz? Nie dam ci obiadu – nie! Ja ciebie zmuszę, żebyś się zabrał do pracy. Albo odejdź w świat, albo sobie jakiej posady wyszukaj, a darmo chleba nie jedz! – –

OJCIEC

To mi wyszukajcie jakiej posady.

MATKA

Ja ci jej mam wyszukać? Za stara już jestem i za brzydka, żeby uprosić jakiego protektora o posadę dla męża. – Sam się o to staraj! – – Ale co tu mówić! – Tyle lat jedno i to samo. – – Nie chce ci się pracować; ot co! – – –

OJCIEC

Dla kogo? Dla takiej żony i dla takich dzieci? — — — Był czas, kiedy pracowałem i zostałby był kawałek chleba na starość. Ale cóż? Puszczałaś pieniądze przez palce, — — jak wielka pani, zamiast pracować ze mną razem. — — Sam poradzić nie mogłem. — Tam, gdzie żona ciągnie w inną stronę, a mąż w inną, musi być wkońcu źle — —

MATKA

Byłeś i pozostaniesz niedołęgą całe życie! — Inny — straciwszy majątek — szpera gdzie za jaką posadą; a ten — nic!

OJCIEC

A cóż mam robić? — To nie wypada — tamtego nie można, bo tyś pani z panów, bo córka nauczycielka, bo syn wnet będzie akademikiem. — Macie salon do przyjęcia — — —

MATKA

Jeden pokój do wszystkiego i to nie opalany w zimie! Siedzimy tu wszyscy w kuchni i...

OJCIEC

Jeszcze na większe dziady zejdziecie, bo to komedyanctwo pańskości wnet was zeżre...

MATKA

Won mi stąd! – – Na to ci będę jeść dawała, żebyś klął i pomstował dzieci!... One ciężko pracują, żebyś ty miał co żreć! Won stąd, mówię, bo... *Ilustruje gestami.*

OJCIEC

Już idę... idę... już idę – – –

MATKA

A idź! Dopłaciłabym ci, żebyś już nie wrócił!

SCENA IV.

MATKA – LUNIA potem MARYNIA.

LUNIA

Obiad się zepsuje – –

MATKA

Będę mu dawała obiady, a jakże! Do pomyi wyleję, a jemu nie dam! – – – — Lunia, a może ty zjesz?

LUNIA

Niech mama zostawi dla taty – – –

MATKA

Nie będziesz jadła?

LUNIA

Nie — — —

MATKA

*Wylewa zupę do cebrzyka.*

MARYNIA *wchodzi*

Całuję rączki mamie! — — — Lunia, czemu nie zamknęłaś drzwi? — Tyle razy prosiłam, żeby zamykano drzwi i zasuwano te firanki. *Zasuwa firanki.*

MATKA

Darmo ukrywasz naszą biedę; z wszystkich kątów wyłazi.

MARYNIA *po chwili*

Spotkałam ojca przed bramą. — Dokąd-że znowu poszedł?

MATKA

A cóż mnie się o to pytasz!?

MARYNIA

Pewnie tu znowu była kłótnia. A tak mamę zawsze o to błagam, żeby nie było tej podjazdowej wojny. — — Trzeba raz na zawsze oswoić się z tą myślą, że ojciec jest takim, jakim jest i że już innym nie będzie. — Ja zarabiam

lekcyami blisko 70 koron, Oleś 40, Zosia także tyle – razem 150 koron. Na takie życie chyba wystarczy.

MATKA

Co ty wiesz! – Długi mam po sklepikach.

MARYNIA

Nie umie mama oszczędzać.

MATKA

Chyba nie będę wam jeść dawała. – Ubierać się też chcecie.

MARYNIA

W jednej sukience trzeci rok chodzę.

MATKA

Wszystko kosztuje – – –

MARYNIA *po chwili*

Od pierwszego dostanę jeszcze jedną lekcyę.

MATKA

I znowu po południu?

MARYNIA

Tak.

MATKA

Wracać będziesz chyba o dziewiątej wieczorem – –

MARYNIA

Nikt mnie nie zaczepi. To tylko Zosia ma takie szczęście. *Po chwili.* Takbym chciała, żeby to była lekcya całoroczna!... – Chcą płacić 16 koron miesięcznie.

MATKA

Cóż tam te wszystkie twoje lekcye! – Czy to co pewnego?

MARYNIA

To prawda. Zosia ma pewniejszy kawałek chleba w ręku... Patentu nie mam – – – cudem doprawdy, że się czegoś nauczyłam sama.

MATKA

Trzymałam do ciebie guwernantki.

MARYNIA

Nauczyły mnie mówić po francusku i brzdąkać na fortepianie.

MATKA

Dopóki ojciec nie zacznie zarabiać na utrzymanie domu, źle będzie z nami.

MARYNIA

Na to już nie poradzę – – *Po chwilce.* Zawsze mnie mama tem samem wita. Zziębłam,

zmęczona jestem, głodna — — Zamiast mi podać obiad, rozpoczyna mama swoje codzienne, gorzkie żale.

MATKA

A na cóż je wywołałaś?

MARYNIA

Ja?! — — —

MATKA

Gniewałaś się, że drzwi nie zamknięte, że z ojcem się kłócę— —

MARYNIA

Ach... Jezu! — Kiedyż się to wszystko skończy?...

MATKA

Siądź-że, bo już nalewam zupę.

MARYNIA *siada przy stole*

Oleś już poszedł na lekcyę?

LUNIA

Poszedł.

MARYNIA

A ty, byłaś dzisiaj w szkole?

LUNIA

Szewc nie chce wydać bucików, dopóki mu mama nie zapłaci.

MATKA

Z czegóż mu zapłacę? Do pierwszego dwa dni jeszcze, a mam wszystkiego kilkadziesiąt halerzy.

MARYNIA

Dużo się należy szewcowi?

MATKA

Dał nowe podeszwy i obcasów po fleku. Żąda za to koronę i dwadzieścia halerzy.

LUNIA *do Maryni*

Napiszesz mi świadectwo, że byłam chora i dlatego nie mogłam pójść do szkoły.

MARYNIA *po chwili*

Ojciec był na obiedzie?

MATKA

Siedzi on to w domu? Ciągle nawraca po schodach.

MARYNIA

Pewnie mu mama nie zostawiła obiadu —

MATKA

Niech nie je, kiedy pracować nie chce! *Gdy Marynia odlewa zupę do garnka i posuwa garnek na środek blachy.* Czemu nie jesz?

MARYNIA

Zostawię dla ojca.

MATKA

I tak was przeklinać będzie. *Gdy odzywa się w głębi pukanie do drzwi.* Znowu nawraca! — — Lunia, otwórz drzwi!

*Lunia rozsuwa firanki i odchodzi w głąb otworzyć drzwi.*

## SCENA V.

MATKA — MARYNIA — LUNIA — OJCIEC.

OJCIEC

*Wchodzi w milczeniu, ręce w kieszeniach palta, kapelusz jeszcze bardziej na oczy nasunięty, postać bardziej zgarbiona; z pod zsuniętych brwi rzuca szybkie, ukośne spojrzenie w stronę Maryni, potem rozpoczyna przechadzkę po kuchni.*

MARYNIA *po chwili*

Zje ojciec obiad? — — — Niech-że tata zdejmie palto i kapelusz i siądzie do stołu.

MATKA

Lunia, zamknij drzwi na klucz! — —

MARYNIA *do ojca*

Już nalałam zupę.

OJCIEC

*W kapeluszu i palcie zbliża się do stołu; zabiera stąd talerz z zupą i odchodzi w głąb; poczem siada na stołku i zaczyna jeść, trzymając talerz na kolanach.*

MARYNIA

Będzie ojcu za ciepło siedzieć tak w palcie.

OJCIEC

Zostaw. I tak mnie twoja matka wnet wygna na ulicę.

MATKA

O, jaki to z niego urodzony żebrak! Przy stole jeść nie chce, tylko koło drzwi.

OJCIEC

Łatwiej ci będzie wyrzucić. *Gdy odzywa się pukanie do drzwi, potem dzwonek.* Goście! — — — Bieda, że aż piszczy, a gości jeszcze przyjmują! — —

MATKA

A co to ciebie obchodzi? Dajesz na to? Tu chodź, za firankę... Prędzej! *Wyrywa mu*

*talerz z rąk.* A chodź-że dziadu! Lunia... zasuń firankę. *Ojciec siada w pobliżu pieca i kończy jeść zupę. Marynia idzie otworzyć drzwi Lunia zasuwa firankę. Matka staje na czatach przy firance i patrzy kto przychodzi.*

## SCENA VI.

OJCIEC — LUNIA — MATKA.

MATKA *zniżonym głosem.*

Rawiczowa przyszła. *Odchodzi od firanki.* Jezu. — — — A tu taki nieporządek. Ona tu pewnie zajrzy. Taka wścibska. — — Luniu... zamieć-no trochę. *Krząta się gorączkowo — potem do męża.* Zjedz-że już prędzej. — —

OJCIEC

*odkłada talerz — zagląda do garnków.*

Niema jeszcze czego?

MATKA

Nie ruszaj. — — To dla Maryni. *Przy firance.* Pst. — — No — — chwała Bogu! Marynia wprowadziła ciotkę do pokoju. *Do ojca.* Idź... umyj się. Jak ty wyglądasz?... Gdyby cię tak Rawiczowa zobaczyła. — — —

OJCIEC

A co ja was obchodzę?... Rzucacie, jak temu psu parę ochłapów. — — *Wstaje idzie w głąb — przy firance staje.* Pożycz mi pięć halerzy na cygaro.

MATKA

Nie mam!

OJCIEC

Wróg — nie żona! — — *Wychodzi.*

## SCENA VII.

MATKA — LUNIA, potem: CIOTKA — MARYNIA.

MATKA

*Zamyka za ojcem drzwi — zasuwa firanki.*

Myśli, że mu ręce odpadną, gdy zasunie firankę. — — Lunia... obetrzyj stół. Schowaj cebrzyk z talerzami do kąta. — Ach, żeby tylko ciotka tu nie weszła. — Ach...

MARYNIA

*odsuwa firankę.*

Mamo, bo ciotka chce pomówić z mamą.

MATKA

Zaraz... zaraz... już idę.

CIOTKA

*odsuwa firankę i wchodzi.*

Czegóż się ty tam ukrywasz, moja droga?

MATKA

Ach... taki tu nieporządek! — — — Proszę do pokoju — — — Lunia, pocałuj ciocię w rękę.

CIOTKA

*do Luni, która ją całuje w rękę.*

Jak się masz? *do matki.* Wolę tutaj porozmawiać z tobą. Tam, w pokoju, zimno, a jak wiesz, cierpię na reumatyzm. — — Marylko, może mi z łaski swojej przyniesiesz fotel. *Do matki.* Nie mogę siedzieć na twardym stołku. — — — Tutaj macie dosyć ciepło. — — — Gdzież twój mąż?

MATKA

Wyszedł przed chwilą.

CIOTKA

*siadając na przyniesionym przez Marynię fotelu — składa futrzaną rotundę na poręczy.*

Czy jeszcze ciągle jest bez zajęcia? *do Luni.* Moja mała... masz zapewnie do zabawki mały stołeczek. Podsuń mi go pod nogi. Tak tu ciągnie. — — — Jak wy tu żyjecie?... *Kładzie stopy na stołeczku, który Lunia przysuwa.*

MATKA

Cóż robić? Biednemu zawsze wiatr w oczy –

CIOTKA

Gdzież twój smarkacz poszedł?.. Chciałabym z tobą o nim pomówić.

MATKA

O moim Olesiu?.. Zapewnie już twój mąż pomyślał o jego karyerze. – – Uczy się dobrze. Profesorzy go chwalą. Dostał teraz trzecią lekcyę. Zarabia 40 koron miesięcznie.

CIOTKA

Tę nową lekcyę ma u dyrektora Zawierskiego, co?

MATKA

*zbita z tropu miną ciotki.*

Tak – u dyrektora. – – Bardzo go tam lubią.

CIOTKA

Moja droga, wytłomacz mi to proszę, dlaczego twój syn chwalił się u Zawierskich, że jest kuzynem mojej Stefy? – – Jeśli się ma biedną familję – no... trudno – – Wspomagam was, jak mogę – ale bardzo proszę nie rozgłaszać o tem pokrewieństwie.

MATKA

Ależ ja — — My — — —

CIOTKA

*uderza ją oczyma, jak szpicrutą.*

Przed kilku dniami zaczepia mnie na ulicy notaryuszowa Wolińska i pyta: „Słyszałam, że siostrzenica pani przychodzi szyć do domów za dziennem wynagrodzeniem. — Czy mogłaby mi ją pani zarekomendować?“ — — — Myślałam, że trupem padnę. — Odpowiedziałam jej z godnością, że moja siostrzenica nie szyje po domach, lecz uczy się kroju, bo ma zamiar założyć magazyn konfekcyi damskiej. — Musiałam tej plotkarce notaryuszowej oświadczyć, że twój mąż dzierżawił dawniej wieś u hrabiego Wiśniewskiego i że na tej dzierżawie wskutek rozmaitych klęsk elementarnych, stracił cały majątek. — — —

MATKA

Stracił, bo był niedołęgą! Inni dzierżawcy wzbogacili się, a on poszedł z torbami.

MARYNIA

Był uczciwy!..

CIOTKA

Od takiego męża należało odejść nazajutrz po ślubie. Tak. Mąż przedewszystkiem żyje dla żony i dla dzieci. Jego etyką powinno być: dogodzić żonie i za jaką bądź cenę zabezpieczyć przyszłość dzieciom. Nie chciałaś mnie słuchać; teraz musisz cierpieć. — — — A wracając do naszej sprawy. — Pomyśl sama: do czego to podobne, żebym ja — żona lekarza o rozgałęzionej praktyce — osoba poważana i bywająca w pierwszorzędnych salonach, potrzebowała się usprawiedliwiać przed taką gęsią, jak ta notaryuszowa! — — — Do czego to podobne, aby o tem pokrewieństwie ze mną otrąbywać po wszystkich ulicach miasta — — —

MATKA

Ależ pozwól — — —

CIOTKA

Twoje dzieci są źle wychowane. O, — jak ta twoja najstarsza córka. Odwróciła się do mnie tyłem — — — *do Maryni.* Słuchaj-no... ty... panienko — — — to ty drugich uczysz, a sama nie wiesz o tem, że należy szanować starszych — — !?..

MARYNIA

— — Zwróciłam się twarzą ku oknu, bo... chciałam ukryć łzy... — Wiem — — — to głupio... płakać o małostkowe rzeczy. Ale... mam teraz takie przeczulone nerwy. Gdyby nie to...

Nie wiem, czy moje rodzeństwo chwaliło się pokrewieństwem tak wysokiem. Ale gdyby tak nawet było, to — czy godzi się nam rzucić w twarz taką wymówkę? — — — I dlaczego? Dlatego, że jesteśmy biedni!...

CIOTKA

Słuchaj-no ty smarkata!.. Nie zapominaj się z kim mówisz... Nie przyszłam tu do was po to, żebyś mi wyprawiała jakieś sceny. *Do Matki.* Pomóż mi włożyć futro. *Do Luni.* Chodź-no tu, ty mała!... Jak ci na imię?

LUNIA

Ludmiła.

CIOTKA

Zwiąż mi tasiemkę u bucika. Tak — Dziękuję ci... Czekaj — — — Masz tu... koronę... kupisz sobie cukierków.

LUNIA

Dam mamie do... schowania.

CIOTKA

Twojej mamie już dam osobno. *Do matki.* Zapewnie posucha u ciebie przed pierwszym. Weź to. *Daje jej banknot.* Przyda ci się. A przyjdź jutro do mnie. Wyszukam coś z przenoszonej odzieży męża dla twojego starego.

MARYNIA

Mamo — — —

MATKA

Marynia sądzi, że obejdziemy się tem, co mamy.

CIOTKA

Czy jesteś pod kuratelą tej smarkatej? — Słuchaj-no ty wielka profesorko! Czy twoja matka ma takie wykształcenie jak ty — lub, czy go niema — nie twoja rzecz o tem sądzić! — Dla starszych, a przedewszystkiem dla krewnych — należy mieć poszanowanie i jak największe względy. *Do matki.* Widzę, że zachukały cię twoje dzieci. Bądź zdrowa! *Do Luni.* Pa, moja mała! *Daje jej rękę do pocałowania.*

MATKA

Maryniu — Ciotka już odchodzi. — — —

CIOTKA

Daj spokój! *Wychodzi przeprowadzona przez matkę.*

## SCENA VIII.

MATKA — LUNIA — MARYNIA.

MATKA

*wraca i zasuwa firankę.*

Obraziłaś ciotkę. *Patrzy z wyrzutem na Marynię.*

LUNIA

Ma tu mama koronę, a wykup mi mama buciki. I daj mi mama za to dwa centy.

MATKA

Dam ci.

LUNIA

Mama dostała od ciotki dziesięć koron. Widziałam — — —

MARYNIA

Żebranina!... Błędne koło!... Nie wydostaniemy się z tej nędzy — Nigdy! Coraz niżej — coraz niżej — na samo dno społecznego błota — — aaa!...

MATKA

Biedni nie potrzebują mieć takiej wrażliwej skóry.

MARYNIA

Nie – My nie tylko biedni. – – – Jesteśmy nędzarze. Nasza moralna nędza większą jest od biedy materyalnej. – Bieda nie może aż tak poniżyć godności człowieczej. – Nędza u nas. Taka straszna nędza, co to wysysa każdą kroplę zdrowej krwi, ogłupia, zbydlęca!... *Po chwili.* Mamo – dlaczego mama przyjęła od ciotki tę jałmużnę?

MATKA

A cóż to? Przed rodzoną siostrą będę się wstydziła, żem biedna? – – –

MARYNIA

Boże – Boże – Boże – –

MATKA

Eeee – – Wydziwiasz a niema czego!

LUNIA

Mamo, bo ktoś puka...

MATKA

Otwórz i zobacz, kto to taki. Jeśli gość, poproś do pokoju. Tu mi nikogo nie prowadź.

*Gdy Lunia znika za firanką — do Maryni.* Obetrzyj oczy — nie płacz. — Masz tu omlet. — Zrobiłam dla ciebie — — —

MARYNIA

Nie mogłabym nic przełknąć. *Słucha.* Jakiś znajomy głos — — —

LUNIA

*wraca z kartą wizytową w dłoni.*

Maryniu... gość do ciebie. Jakiś żyd — ale nie taki z pejsami, tylko w cylindrze. Podał mi kartę. Poprosiłam go do pokoju.

MARYNIA

*do matki, po przeczytaniu biletu.*

To dawny propinator hrabiego Wiśniewskiego, a dziś — dziedzic Górki. *Podaje bilet.*

MATKA

Patrzcie ludzie, jak to fortuna kołem się toczy! — — Ciekawam, czego on od ciebie chcieć może.

MARYNIA

Prawdopodobnie poszukuje nauczycielki dla swoich córek.

MATKA

A kto wie! — — Marylko — — mogłabyś też pomówić z tym Nussbaumem o ojcu. Umieściłby go tam w Górce na posadzie leśniczego.

MARYNIA

Zobaczę. *Wychodzi.*

SCENA IX.

MATKA — LUNIA potem GŁOS MARYNI.

MATKA

Może nam ten żyd szczęście przyniesie? — — — Śniło mi się tej nocy, że leżałam cała we krwi, a jak się krew przyśni, to znaczy zysk i dużo pieniędzy.

LUNIA

Miała już mama pieniądze od ciotki.

MATKA

Prawda... prawda... *Widząc, że Lunia zawdziewa kocową chustkę matki i kalosze Maryni* A gdzież się ty wybierasz?...

LUNIA

Idę cukierków kupić za centa, a po drodze wstąpię do szewca i powiem, żeby przyniósł buciki, bo już są pieniądze.

MATKA

Czekaj — — — Kupisz dla Maryni szynki za dwadzieścia halerzy. Zapłacisz za cetnar węgli, tylko dopilnuj, żeby dobrze naważyli i zaraz przynieśli. W sklepiku na dole zapłacisz, com winna, i kupisz funt cukru, kawy pół ćwiartki, paczkę cykoryi. — Dla Zosi i Olesia trzebaby też coś na kolacyę — może krajanej kiełbasy — — —

LUNIA

O — już się mama szasta; a pojutrze znowu nie będzie za co kupić obiadu.

MATKA

Co?... I ty już na matkę buzię otwierasz? — — Masz! *Uderzyła ją.*

LUNIA

Aj!... To mamie za to nigdzie nie pójdę! *Rzuca chustkę i odrzuca precz z nóg kalosze.*

MATKA

Luśka! bo... pókim dobra! Zaraz mi idź, gdzie cię posyłam!... *Milknie, bo oto słyszeć się daje*

GŁOS MARYNI *za firanką*

Wytłomaczyłam panu, dlaczego odmawiam. *Skrzypnęły drzwi i oddalają się czyjeś kroki.*

MATKA

*na czatach przy firance, poczem zwraca się do Luni półgłosem*

Nussbaum odchodzi w gniewie. — — — Że też Marynia przy nim języka w gębie zapomniała.

## SCENA X.

MATKA — LUNIA — MARYNIA potem OJCIEC.

MATKA

*do Maryni, która firankę odsuwa i wchodzi*

Cóż to było?

MARYNIA

Chciał, żebym wyjechała do Górki na guwernerkę.

MATKA

A ile chciał płacić?

MARYNIA

Pięćdziesiąt koron miesięcznie. Ale widziałam, że ma ochotę dołożyć. On się tu jeszcze wróci. — — —

MATKA

Z lekcyi masz o wiele więcej dochodu.

MARYNIA

To też odmówiłam.

MATKA

O ojcu nie wspomniałaś?

MARYNIA

Nie — — —

MATKA

*gdy odzywa się, usilne — uporczywe pukanie do drzwi*

O... idzie już...

MARYNIA

Mamo — — tylko nie kłóć się z nim mama.

MATKA

Lunia — otwórz ojcu drzwi. *Do Maryni, kierującej się w stronę pokoju.* Zmarzniesz tam w pokoju.

MARYNIA

Muszę się przygotować do lekcyi. Tutaj uczyć się niepodobna. *Zawdziewa chustkę.*

OJCIEC

*patrzy za odchodzącą Marynią*

Cóż ta znowu przede mną ucieka?

## SCENA XI.

MATKA — LUNIA — OJCIEC potem MARYNIA.

OJCIEC

*podniecony radością — tryumfujący — zdejmuje palto — wyjmuje z kieszeni paczki i flaszkę z arakiem*

Zrobimy sobie bal. Przyniosłem herbatę, cukier, cytryny, arak — — a tu są bułki i kiełbaski. Sześć par kiełbasek. Pamiętałem o wszystkich. Co ojcowskie serce, to ojcowskie serce. Co krew, to nie woda.

MATKA

Dostałeś od ciotki pieniądze?

OJCIEC

Jaka ciotka? A! twoja siostra — ?... Nie widziałem jej.

MATKA

Skąd wziąłeś pieniędzy na to wszystko?

OJCIEC

Zarobiłem. *Dzwoni pieniądzmi w kieszeni.*

MATKA

Tybyś zarobił!...

OJCIEC

*ogląda się w małem lustrze — które wisi gdzieś z boku — poprawia krawatkę — potem zbliża się do Matki*

Na... masz. *Daje jej pieniądze.* Poznaj, że mąż ma zawsze lepsze serce, aniżeli żona. Bo wy, to tylko wtedy kochacie, kiedy wam mąż daje na te wszystkie wymysły, co to — — —

MATKA *biorąc pieniądze*

Ograbiłeś kogo?

OJCIEC

Na cóż ci o tem wiedzieć? Są — to są. — Człowiek — im mniej wie, tem lżej spi. — Ale — — słuchajno — — Czego ten Nussbaum chciał? — — Rozminąłem się z nim na schodach. — —

MATKA

Tobie nic do tego! Gadaj, skąd wziąłeś te pieniądze? — — Będzie mi tu zagadywał o Nussbauma. — Przyszedł, bo miał interes do Maryni — —

OJCIEC

Głupia baba z ciebie! *Zbliża się do stołu i pociąga z flaszki spory haust araku.* Interes — — do Maryni? — Jaki?

MATKA

Chciał, żeby poszła do jego dzieci za guwernantkę.

OJCIEC

Niedoczekanie! *Znowu pije, potem:* A to szelma żyd!... Nic mi o tem nie powiedział...

MATKA

*wyrywa mu z rąk flaszkę*

O... ty!.. Ty... pijaku... ty! coś już przepił i rozum i wolę i sumienie!

OJCIEC

Psiakrew! A to jędza kobieta!

MARYNIA

*rozsuwa firankę i wchodzi*

Znowu kłótnia. — A tak prosiłam, żeby był spokój. — — O cóż znowu chodzi?

LUNIA

Tata przyniósł do domu pieniądze i kiełbaski herbatę i araku do herbaty —

MARYNIA *do Ojca*

Zarobił ojciec?

MATKA

Nie chce powiedzieć, skąd wziął pieniądze.

OJCIEC

Nie ukradłem — — —

MATKA

To powiedz — — —

OJCIEC

No — naciągnąłem tego żyda — — —

MATKA

Którego? — — —

MARYNIA

— — ? — — ! — — — Czy ojciec widział się teraz z Nussbaumem?

OJCIEC

Iii... nie teraz!... Będzie temu z pół godziny. — — — Teraz rozminąłem się z nim na schodach. Nie widział mnie, bo się usunąłem do suteren.

MARYNIA

I za jego to pieniądze?..

OJCIEC

Pożyczyłem u Nussbauma. Powiedziałem mu, że oddam, skoro tylko zarobię... A mam właśnie zarobić — — —

MARYNIA

Żebrać, aby potem pić! — — I na cóż się zdadzą te wszystkie moje wysiłki — — ?

OJCIEC

Przecie ja... nie tylko dla siebie — — —

MATKA

*porywa ze stołu flaszkę i wylewa arak do cebrzyka*

A niechże się przynajmniej zemszczę na tobie!

OJCIEC

*w pierwszej chwili skonfundowany, ale potem*

I myślisz, że ci to podaruję?.. *Zamierza się na żonę.*

MATKA

Bij!... Tylko się waż mnie tknąć!

MARYNIA

Mamo — chodź mama stąd. Ojciec jest w stanie niepoczytalnym — — —

OJCIEC *do Maryni*

Ty? — — — Idź tam! — — — Do salonu! — I cóż tak oczy na mnie wytrzeszczasz? — — — Tfu! — — *Do matki* Przypatrz się, jak ta wygląda. Nie chciałaś, żebym ją wydał za mąż,

gdy miała lat dwadzieścia i patrz, co za korniszon się z niej zrobił! — — — To twoje rządy! Mnie wyrychtowałaś na dziada, córkę na starą pannę — — —

MATKA

Komu urągasz?..!

OJCIEC

Myślisz, że ci się przelęknę? — — — Ja tu jestem panem domu! Musicie mnie słuchać! — — Dawałem wam na zbytki przez tyle lat — teraz na starość, to wy mi nawet łyżki strawy dać nie chcecie!... A to jest obowiązkiem dzieci utrzymywać starego ojca — — —

MATKA

Ja ci tu pokażę, jakie są nasze obowiązki.

OJCIEC

Nie bij, bo sam bić zacznę — — —!

MATKA

Próbuj! — *Po chwili.* Nie potrzebuje tu nikt tych specyałów, któreś przyniósł za wyżebrane pieniądze!.. *Składa wszystko do papierowej torby i wyrzuca za drzwi, poczem czyni to samo z paltotem i kapeluszem ojca.* Idź i pozbieraj tam swoje manatki! *Wyrzuca czapkę.*

OJCIEC

Poczekaj — i ciebie stąd wyrzucą, jak ty mnie. — *Powoli wychodzi.*

## SCENA XII.

MATKA — LUNIA — MARYNIA.

*Chwila przykrego milczenia.*

MARYNIA

I znowu będzie nocował w jakim szynku — —

MATKA

A niech już robi co chce!

MARYNIA

To nasz wstyd — nasz wspólny wstyd. — — — Trzeba go było zostawić w spokoju. — — —

MATKA

A kto zaczął? — — Ty! — —

MARYNIA

Znowu! — — Zawsze się na mnie skrupia. — — —

MATKA

Trzeba już było dać mu się nażreć i opić!.. Byłby spokój! — — Ale z ciebie taka zapałka — —

MARYNIA

Ja? — — —

MATKA

No... no!.. Nie bój się o swojego ojczulka — — — Wróci — bo gdzież pójdzie? — — — Centa zarobić nie potrafi — — —

MARYNIA

Mamo — — —

MATKA

Czego?

MARYNIA

Nie udźwigniemy już tego ciężaru. — Po co my tu razem siedzimy, dręcząc się wzajemnie? — —

MATKA

Dopóki jesteśmy razem, stanowimy rodzinę — jesteśmy czemś. — A tak, to co?.. Jak te rozbitki. — — —

MARYNIA

Galery — dożywotnie galery! — —

MATKA

Niechby tylko Oleś zdał maturę — — — Lżej nam będzie — —

MARYNIA

Ach — tu nie chodzi tylko o poprawę materyalnego bytu. — Niechże mama to zrozumie! — — —

MATKA

Może trafi się Zosi wyjść za mąż — — —

MARYNIA

Mama lubi się łudzić — —

MATKA

Cóżby człowiekowi zostało, gdyby nie miał nadziei? — — Lunia u Zosi — Oleś w urzędzie — ja z tobą... to już jakoś — — —

MARYNIA

A ojciec? — — Wy nie możecie z sobą żyć w zgodzie. — Niema punktu wyjścia — — —

MATKA

A niema — nie! Trzeba cierpieć, aż jedno z nas umrze: albo on — albo ja! — — — *Zegar tam w pokoju bije — dreszcz wstrząsa Marynią i Matką. Lunia drgnęła.*

MARYNIA *po chwili*

A powiadają, że człowiek ma wolną wolę. To nieprawda. Tylko myśl może bujać wolno.

Ruszyć się nie można, by nie nadeptać na czaty, które rozstawiono dookoła — gwoli bezpieczeństwa społecznego i świętości rodzinnego życia.

Świętość rodzinnego życia! — — — Przecie to kajdany, które dźwigam dlatego, bo brak mi sił, żeby je zerwać i odrzucić precz — — — bo tkwi we mnie jeszcze ślepy instynkt poszanowania dla władzy rodzicielskiej, która nas w te kajdany okuła.

MATKA

Strach, jakie ty bezbożne książki czytujesz! —

MARYNIA

Sądzi mama, że ja to z książek — — ? — — Z tych bezbożnych książek? — — Ależ właśnie — że ja za mało tych książek czytałam — a ta odrobina wiedzy, jaką skądinąd zaczerpnęłam, przeszkadza mi iść za popędem natury i jej praw. — — Natura moja — całą siłą niezepsutej, młodej krwi pchała mnie w świat, do ludzi, do walki, do życia — — — A ta mądrość książkowa, ten cały katechizm urojonych i prawdziwych obowiązków nauczyły mnie rozważać, czekać, szukać jakichś pośrednich dróg. — Teraz jestem taką ucywilizowaną jednostką — kołkiem do zatykania płotów — — —

MATKA

Ej, nie gadaj, nie! — — — Zaraz trzecia odbije. — Spóźnisz się na lekcyę.

LUNIA

Niech mama ugotuje dla Maryni kakao. Ona nie jadła obiadu — — —

MATKA

*do Maryni, która zawdziewa czapeczkę i płaszczyk*

Zatrzymasz się chwileczkę. Zaraz ugotuję. — Może zjesz trochę szynki? Zaraz poślę. — Lunia — —

MARYNIA

Dziękuję. Nie trzeba. Już odchodzę.

MATKA

To napij się trochę mleka — *nalewa mleko do szklanki.*

MARYNIA

Nie chcę. Daj mi mama spokój. — Lunia... chodź! zamkniesz za mną drzwi. *Kieruje się ku drzwiom — rozsuwając firanki.*

MATKA

To tak wychodzisz? Bez pożegnania?

MARYNIA

*wraca w milczeniu i całuje matkę w rękę — ale dość oficyalnie.*

MATKA

No... no... nie płacz. — Jużby chyba Boga nie było w niebie, żeby cię miało ominąć szczęście — — —

MARYNIA

Szczęście — — ? — — Z lekcyi na lekcyę wśród zadymki, lub słoty; w wyszarzanym płaszczu i z książkami pod pachą — typ nauczycielki prywatnej, która zestarzała się przed czasem — to mój los dziś — i zawsze — — —

LUNIA

Zapomniałaś kaloszy — — Tu są — — — Czekaj... pomogę ci je włożyć.

MARYNIA

Dziękuję ci. *Zwraca się do Matki.* Mamo — gdyby ojciec przyszedł, niech już mama nie wszczyna z nim kłótni. *Wychodzi.*

LUNIA *po chwili*

O... patrz mama, jaka zadymka na polu — — Biedna Marynia! — Tak musi biegać za temi

lekcyami — a do tego nic nie jadła i tyle miała przykrości — — Biedna Marynia!..

MATKA

Biedneście wy wszystkie — — *Stoi z daleka od Luni — zamyślona, bolesna, przeczuwająca.*

ZASŁONA.

# AKT DRUGI.

*Scena przedstawia pokój urządzony z pewną pretensyą do elegancyi. Ale ubóstwo wyziera z wszystkich kątów. W głębi nisza — a w niej zaścielone dwa łóżka. Tu — w pokoju — garnitur starych, rypsowych mebli. Na stole — lampa. Pod oknem biurko. Gdzieś z boku stoliczek — na nim sztuczna, przyniszczona palma. Okno ustrojone pocerowanemi firankami. Pod stołem wyszarzany dywanik. Dwie szafy przy ścianie bocznej. Zegar — lustro — pianino — olejodruki. W kaflowym piecu pali się skąpy ogień. Na polu ładny, zimowy dzień słoneczny — ale tu ponuro — chłodno. W pobliżu okna siedzi Zosia i łata sukienkę. Marynia na kanapie czyta książkę. — Oleś przy biurku coś pisze.*

⊙ ⊙ ⊙

## SCENA I.

MARYNIA — OLEŚ — ZOSIA.

OLEŚ

*odkłada pióro — zwraca się do sióstr.*

Za dwadzieścia cztery koron miesięcznie paradnie wyżyję! — I będę miał codziennie mięso na obiad. *Zagląda w kartkę i mówiąc podkreśla ołówkiem na papierze.* Abonament miesięczny na obiady: koron czternaście. Sześć bułek dziennie — więcej nie można — halerzy dziesięć. Herbata i cukier no i cytryna – niech stracę — halerzy osiem. Na miesiąc uczyni wszystko osiemnaście koron i jeszcze coś. Pięć koron dam za mieszkanie wspólne z drugim kolegą. — — —

MARYNIA

A opał i oświetlenie?

OLEŚ

Człowiek powinien dążyć do tego, aby w danym wypadku mógł ograniczyć swoje potrzeby do...

MARYNIA *podsuwa.*

Do beczki Dyogenesa.

OLEŚ

A tak. — Opału i oświetlenia nie potrzeba. Uczyć się mogę u jakiego zamożniejszego kolegi. Całe popołudnie zajęte mam lekcyami. Potrzeba mi tylko kąta, aby módz się gdzie przespać. — — —

ZOSIA

Ja — bo nie widzę jak ty wyżyjesz. — — —

OLEŚ

Już wy się o mnie nie troszczcie. „Nie nademną płaczcie niewiasty Jerozolimskie" — Dam sobie radę, prędzej, aniżeli wy! — — —

ZOSIA

I owszem! — Będzie mogło każde z nas pójść swoją drogą.

OLEŚ *do Maryni*

Mogłaś już dawniej odejść z domu. Szkoda tych kilku lat, w których przemęczyłaś się zupełnie bez celu.

MARYNIA

Byłeś młodszy. Nie miałeś dawniej żadnych korypetycyj. *Do Zosi.* A i ty nic jeszcze nie zarabiałaś.

ZOSIA *szydząc.*

Poświęciła się dla nas! — Ona poświęcać się tak będzie całe życie.

MARYNIA

O, gdybym tylko miała siłę wytrwać w tych obowiązkach, które na siebie przyjęłam. — — —

OLEŚ

Ot, konsekwencya kobieca! — Wczoraj dopiero burzyła okopy Św. Trójcy i razem z Pankracym i Leonardem szła zdobywać barykady wolności! *Deklamuje ustęp z «Nieboskiej».*

ZOSIA *do Maryni.*

Masz się o kogo troszczyć. On i tak matury nie zda i do aktorów ucieknie.

MARYNIA

Oleś!... Jesteś przecie rozsądny. — — — Czy nie możesz nad sobą zapanować? Ten kabotynizm wyjałowi ci duszę. — — —

OLEŚ

Powiem, żeś mądra, jeśli zgadniesz: dlaczego po całych godzinach deklamuję.

ZOSIA

Jest to nałóg — tak samo, jak pijaństwo,

OLEŚ *do Zosi.*

Ty: od razu pałką w łeb! — Ale... zgadła *mówi dalej paryodując.* Intuicyą, bez analizy doszła do syntezy — — — *Robi maskę Mefista w karykaturze.*

ZOSIA

Aktor! — — *Ściągnęła pogardliwie ramionami.*

OLEŚ

Gdy deklamuję, zapominam o całej mizeryi naszego domowego ogniska. Wy się tu kłócicie o marności nad marnościami, a ja odrywam się od was. Wyodrębniam się i ratuję ducha przed ostateczną zagładą. Sposób najlepszy, żeby nie dać się opanować tej genialno-szalonej myśli, którą niby Mefisto podszeptuje: „Stworzonyś na bohatera". — — — Zamiast bohaterstwa — kabotynizm. — —

MARYNIA

A więc chybione bohaterstwo rodzi tylko— —

OLEŚ

No — niezawsze... niezawsze! — Ale często wyrzuca na fale życia genialnego kabotyna, lub świętych szaleńców, co to poświęcają

wszystko dla umiłowanej idei. Ludzie rozsądni często zamykają takich w szpitalu warjatów.

MARYNIA

— — A ja tak wiele obiecywałam sobie po twoich zdolnościach. — — —

OLES

A tak! — — Moje opiekuńcze duchy wyznaczyły mi już zapewnie drogę, po której mam pójść, żeby zrobić karyerę. — — Wybierze się to, co najłatwiejsze: pewny żłobek, zapłacony całą sumą ideałów. A potem nie potrzeba się już o nic trapić. — — —

ZOSIA

Ej, Olek! Ty chyba na szubienicy skończysz!

OLEŚ

Tak wysoko już nie zajdę — to darmo! Wszczepili w moją krew tyle pięknych zasad, że choćby mi kto teraz wstrzyknął w żyły serum, sporządzone z zarazków najwścieklejszego rewolucyonisty, krew moja ledwie się zaczerwieni. Zadużo w niej błękitnej krwi — tej samej, co płynie w żyłach cioci Rawiczowej.

ZOSIA

Zdaje mi się, że mama poszła do ciotki ze skargą na nas. — — —

OLEŚ *do Maryni.*

I skończy się na tem, że ty jesteś wszystkiemu winna i, że nabuntowałaś mnie i Zosię.

ZOSIA

Tak, lub owak — nie wybyłabym dłużej w tem piekle.

OLEŚ

A zatem: bunt jawny na całej linii! — —

MARYNIA

Będziemy jak te ptaki, które rozbijają własne gniazdo.

OLEŚ

Hm... to zdanie ładnie brzmi, po literacku — ale — — kłóci się z logiką. Młode uciekają w świat, gdy im tylko skrzydła podrosną, a stare nie wstrzymują ich lotu. Nie żądają wdzięczności za to, że je na świat wydały.

MARYNIA

A nam podcięto skrzydła.

OLEŚ

Ii...! Daj-że już spokój tym ptasim porównaniom. Mów bez egzaltacyi, chłodno: Czy masz szczere, niezachwiane postanowienie ruszyć w świat i być wolną i pracować, jak człowiek wolny?

ZOSIA

Ty jej wierz, że ona wyjdzie z domu!...

MARYNIA

To prawda — nie mam silnego ducha w sobie. — Lękam się też o was; szczególnie o Zosię.

ZOSIA

Nie będziecie mnie na pasku wodziły całe życie — ty i mama — nie! — Ani myślę dawać się tu żywcem zagrzebać! — —

MARYNIA

Już nie. — — Już was wstrzymywać nie będę. Ale słuchaj, Zosiu — — Nie pędź tak na oślep ku temu, co ci nieznane; nie obiecuj sobie rozrywek. Zastanów się: czy masz dosyć hartu woli, by nie upaść w życiu, skoro. — — —

ZOSIA

Znowu te morały! — Jeśli wierzysz w ich dobry skutek, to chyba już nie zbłądzę w życiu,

bom się dość nasłuchała morałów i od mamy i od ciebie — a najwięcej od ciebie.

*W przedpokoju odzywa się dzwonek.*

MARYNIA do *Olesia*

Zobacz: kto dzwoni.

ZOSIA

Pewnie mama wraca. *Oleś wychodzi. — Chwila milczenia. — Potem wchodzą: Ciotka — Matka — Oleś.*

## SCENA II.

CIOTKA — MATKA — ZOSIA — LUNIA — MARYNIA.

CIOTKA

Dzień dobry! Jak się macie? Cóż to? — Czy Zosia taka pilna, że nawet przy święcie szyje?

ZOSIA

Łatam sobie sukienkę. W dni powszednie dla siebie szyć nie mam czasu.

CIOTKA

Zdaje mi się, że tu kogoś brakuje? — —

MATKA *do Zosi*

Gdzież Lunia?

ZOSIA

Wyszła do koleżanki, żeby się dowiedzieć, co im nauczycielka na jutro zadała.

CIOTKA *do Olesia*

Jakże tobie się powodzi w szkole? – Zdajesz w tym roku maturę — —

OLEŚ

Niewiadomo. Mogę przepaść — — —

CIOTKA

Niema obawy. — Zanadto jesteś zdolny. — Zapiszesz się zapewnie na prawo? — — Mój mąż wyrobi ci stosunki w Dyrekcyi skarbu, a jeśli będziesz porządnym człowiekiem, to zrobisz karyerę.

OLEŚ

Mogę dostać złoty kołnierz.

CIOTKA

Daj ci to Boże, skoro masz takie ambitne marzenia — — —

OLEŚ

Przepraszam — — ale ja wcale nie mam takich ambitnych planów — — —

CIOTKA

?! — — To bardzo źle. — — Człowiek, który niema ambicyi —

OLEŚ *kończy*

Dosłużyć się w Dyrekcyi skarbu złotego kołnierza — — —

CIOTKA

*Ciche, zduszone oburzenie, potem zwraca się do matki*

Z przykrością oświadczyć ci muszę, że bardzo źle wychowałaś twoje dzieci.

MATKA

Olek! Zaraz przeproś ciotkę! — —

OLEŚ

Przepraszam! *Lekki ukłon w stronę kanapy, gdzie siedzi ciotka.* Ale chciałem właśnie zaznaczyć różnicę moich przekonań — — —

MATKA

Olek! — —

CIOTKA

Daj spokój! Nie daleko pada jabłko od jabłoni. Po takim ojcu nie może być inny syn. — — Jesteś moja siostro istotą godną po-

żałowania. — To jest straszny ból, taka niewdzięczność dzieci.

OLEŚ

Wdzięczność za to, że się tu marnuje nasz duch! — — Patrzcie, co stało się z Marynią. Ona miała duszę niepowszednią, a teraz — to ona na tyle woli i energii zdobyć się nie może, aby szarpnąć raz silnie za obrożę i wyswobodzić się z jarzma. — Nam nie wolno myśleć o drugich, ani żyć dla społeczeństwa, bo nas skrępowano małostkowemi, nędznemi troskami rodzinnego życia i drobiazgowej walki o... żłobek. — Nędza w teraźniejszości, a w perspektywie dobijanie się coraz wyższych szczebli tej drabiny, która się zwie: karyera, złoty kołnierz! — —

CIOTKA

Siostro! — — — Ależ twój syn... twój syn... jest jakobinem! — — — Co się tu, u was, dzieje? — — *Do Maryni.* To twój przykład zaraził młodsze rodzeństwo — — —

MARYNIA

Nie chcemy — nie możemy już dłużej cierpieć — — *W tej chwili odzywa się tam w kuchni silne charakterystyczne pukanie do drzwi.*

MATKA *do Zosi*

To pewnie ojciec się tak dobija do drzwi. Idź-że mu otwórz — — — A powiedz, że mamy gościa. *Ciszej.* Ten niedołęga wejdzie jeszcze w kapeluszu...

CIOTKA

Muszę ci oświadczyć, moja siostro, że to bardzo niełądnie traktować męża w ten sposób. Jeśli raz zdecydowałaś się do tego mezaliansu, powinnaś była podnieść go ku sobie.

MARYNIA

*Gdy matka wychodzi po chwili.*

Tak — — gdyby to mama umiała i mogła zapanować nad uczuciem niechęci. — — — Co za okrutne barbarzyństwo wprządz do jednej taczki parę ludzi, którzy się wzajem nienawidzą! — — A my, dzieci, po czyjej-że stronie mamy stanąć? — — Tu, pod bokiem policyi, popełnia się mord na kilkorgu ludziach — mord w biały dzień — mord uświęcony prawem boskiem i ludzkiem — — —

CIOTKA

Ateistka z ciebie i bluźnisz każdem słowem — —

*W tej chwili wchodzi krokiem sztucznie robionej swobody towarzyskiej Ojciec. Znać, że go wymusztrowano tam w kuchni. Za nim sunie Matka. Na ostatku Zosia. Pewne naprężenie. Atmosfera familijna staje się jeszcze przykrzejsza.*

## SCENA III.

CI SAMI — OJCIEC.

OJCIEC

*Tonem niby swobodnym, towarzyskim.*

Witam... witam... A to miły gość!... Bardzo mi przyjemnie — —

CIOTKA

Dzień dobry! Jak się masz? — — Zostań tam. — Zostawiasz na podłodze ślady mokrego obuwia.

OJCIEC

Nie pasuję do salonu — — —

MARYNIA

Ależ tu nie żaden salon.

MATKA *do Ojca*

Odsuń się od pieca. Iskra wyleci i zapali się na tobie ubranie — —

OJCIEC

Nie szkodzi... nie szkodzi...

MATKA

Ależ usuń się trochę — — —

OJCIEC

Gdzie stanę, to im zawadzam. Spać — to już śpię w kuchni na tapczanie. Usuwam się im do kąta, żeby jaknajmniej miejsca zabrać.

MATKA

Biedna ofiara!...

MARYNIA

Mamo! — proszę mamy!

CIOTKA

Dajcie spokój, nie kłóćcie się. Ty mój szwagrze powinieneś uwzględnić, że twoje dzieci pracują na utrzymanie domu — — *Do dzieci.* A wy, moi drodzy pamiętajcie o tem, co nakazuje Pismo Święte: „Czcij ojca i matkę“ — — Jeśli każde z was pójdzie w inną stronę, zostaniecie bezdomnymi nędzarzami, oddanymi na łup czyhającej rozpuście. — — — *Do Zosi.* Jakże ty sobie dasz sama radę?

ZOSIA

Trafia mi się posada bony.

MATKA

W Czerniowcach! Na końcu świata! Mogą ją gdzie wywlec do jakiego domu rozpusty —

CIOTKA

Kochana siostro!... tak się nie mówi przy dzieciach.

MATKA

Lepiej jeśli zawczasu dowiedzą się o wszystkiem —

ZOSIA

Nie jestem już dzieckiem. *Odwraca się.*

CIOTKA *do Zosi*

Słuchaj smarkata, bo do ciebie się mówi! — — Wyćwiczysz się w szyciu, nauczysz się dobrze kroju, to jakoś pomyślimy o tem, żebyś sobie założyła magazyn konfekcyi damskiej. — Może do tego czasu wydam moją Stefę za mąż. Proście o to gorąco Boga, bo wtenczas jakoś łatwiej mi będzie zająć się wami. Zabiorę wówczas Lunię na wychowanie. Tylko żyjcie razem w zgodzie. *Do Maryni.* Ty nigdzie wyjeżdżać nie potrzebujesz, bo tu, na miejscu, zarabiasz

tyle, ile ci tam z pewnością nikt nie zaofiaruje na guwernerce. A jesteś przy rodzicach, co jest dla panny najprzystojniej. *Do Olesia.* Chciałam zająć się także i twoją przyszłością, ale przekonałam się, że byłby to trud daremny. Jeśli kto niema ambicyi, jeśli w dodatku drwi z wiary ojców — —

MATKA

On się jeszcze zmieni — —

CIOTKA

Miejmy nadzieję, siostro. *Do Maryni.* Jesteś najstarszą z dzieci, daj dobry przykład i przeproś matkę.

MARYNIA

Kiedy ja nic takiego — — — —

CIOTKA

No... no!... groziłaś, że odejdziesz z domu.

MATKA

Maryniu... Widzisz... ja pierwsza do ciebie... *Całuje ją.*

CIOTKA

Ależ już dobrze. — Wszystkoście już sobie powiedzieli i ulżyliście waszym sercom. *Do*

*Matki.* Powiedziałam ci, że skoro tylko przemówię do ich sumienia, zaraz przekonać potrafię, jak święte wobec ciebie mają obowiązki — — Prawdziwie, że się raduję w głębi duszy, jak po spełnieniu dobrego uczynku — — No... bądźcie zdrowi — — *Do Matki.* Gdzież twój mąż?

MATKA *do Zosi*

Zawołaj ojca — —

CIOTKA

Powinniście się trochę lepiej obchodzić z ojcem. Jakkolwiek nie pochwalam jego charakteru, ale zawsze to wasz ojciec! *Do wchodzącego Ojca.* Już odchodzę. — Pamiętaj, mój szwagrze, że: „zgoda buduje domy, a niezgoda je burzy“ — — — Bądźcie zdrowi. — Smacznego! — Zapewnie jeszczeście nie jedli obiadu? — — Przyznam się wam, że dzisiaj będę jadła z dobrym apetytem.

OLEŚ *półgłosem*

Jak po spełnieniu dobrego uczynku.

*Ciotka wychodzi przeprowadzona przez Ojca i Matkę.*

## SCENA IV.

MARYNIA — OLEŚ — ZOSIA.

OLEŚ

Święto pojednania: dwie sceny prozą, odegrane przez członków rodziny w sposób wykluczający wszelki artyzm i przy pogwałceniu logiki i zdrowego rozsądku. — Jakie to wszystko niesmaczne! — — —

ZOSIA

Ta stara rajfurka myślała, że uwierzyliśmy jej pięknym słówkom. — Każe nam tu siedzieć i żyć w pięknej zgodzie rodzinnej. Niechby tu wybyła dzień cały, zobaczyłaby, czy tu można wytrzymać.

MARYNIA

A może ona miała racyę? — — Nie wolno nam myśleć tylko o sobie. — Ojciec — matka —

ZOSIA

— — Od dziecka słyszę, jak ze sobą się biją i kłócą — — — Róbcie sobie co chcecie, ja i tak wyjadę do Czerniowiec.

MARYNIA

Nie... nie! — Tam nie pojedziesz! Obmyślimy co innego. — *W tej chwili tam, od strony kuchni słyszeć się daje kłótnia Ojca i Matki.*

## SCENA V.

MARYNIA — ZOSIA — OLEŚ potem MATKA.

MARYNIA

Jezu — — — Co to za dom — — — Co to za dom — — — *Ręce podniesione ku skroniom — tak przechadza się po pokoju, poczem zamyka drzwi na klucz.*

ZOSIA

*zawdziewa żakiet i kładzie na głowę kapelusik.*

Piekło! — Gorzej jeszcze! — Ciotka powiada: „Czcij ojca i matkę“ — — Jak tu czcić? — —

MARYNIA

Nie odchodź, bo znowu będzie kłótnia — —

MATKA

*za drzwiami — dobijając się do drzwi*

Otwieraj!

MARYNIA

Zaraz — *Otwiera drzwi.*

MATKA *wchodzi.*

Przed kim zamknęłaś drzwi?

MARYNIA

Chciałam mieć spokój. Głowa mnie boli.

MATKA

Wielka pani!.. Głowa ją boli! Matce drzwi zamyka przed nosem — — —

MARYNIA

Mamo... proszę mamy. — — Już dość tego — — — Czuję, że każdy nerw pręży się — jakby miały zerwać się wszystkie — —

MATKA

*patrzy na Marynię — potem do Zosi.*

A ty gdzie idziesz?

ZOSIA

Na spacer — —

MATKA

W domu siedź! — — Dopóki ja żyję — na żadne włóczenie się z facetami nie pozwolę.

ZOSIA

Nie chcę siedzieć w domu i słuchać, jak się mama ze wszystkimi kłóci — — —

MATKA

Obiad teraz — — —

ZOSIA

To go zjedzcie! — —

MATKA

Masz „randkę", co ci tak pilno? — — —

MARYNIA

Mama sama ją psuje, podsuwając jej myśli i uczynki, o których wiedzieć nie powinna.

MATKA

A tyś lepsza od niej? — — — Zamiast jej przykazać, jak starsza siostra młodszej — to jeszcze ją buntujesz — — — *Do Zosi.* Zdejm kapelusz i żakiet — —

ZOSIA

Niech mi mama pozwoli odejść po dobroci. *Całuje matkę w rękę.*

MATKA

W domu masz siedzieć. Dopóki pod moją opieką zostajesz, musisz być porządną dziewczyną — — —

ZOSIA

Takeście się dobrze opiekowali Marynią, że jej suchoty grożą; a tatuś — jak mu się tak spodoba, to jej wymyśla od korniszonów i starych panien. — Ona zamęczała się dla was, a teraz w oczy ją kłójecie staropanieństwem. A taki sam los gotujecie mnie i Luni! — Za to,

że mama w małżeństwie jest nieszczęśliwą — to już i nam odradza małżeństwo, a na mężczyznę każe mama patrzeć, jak na wroga. — — Nie — Nie zostanę tu dłużej! — — —

MARYNIA

Zosiu — — Zośka! — *Ściska jej ręce w swoich dłoniach.* Będziesz ty cicho — — —

ZOSIA

Nie — nie chcę! — — Przyzwyczaiłaś ich do tego, żebyśmy znosili do wspólnej nory nasze dzienne zarobki — — Stroisz tę nędzę fałszywymi pozorami dobrobytu i elegancyi. Zamykasz nędzę naszą na klucz i kryjesz ją pod tą firanką, co tam dzieli kuchnię od drzwi wchodowych. — Po co?.. dla kogo?.. Przecież tem nikomu nie ulżysz, ani dogodzisz — — — Przywiążesz się tylko do tych paru gratów, które zebrałaś dzięki temu, żeś sobie od ust oszczędzała — i co? — — Potem ci się odejść stąd nie chce. Zostań, skoro nie masz odwagi powiedzieć ludziom: Nie są świętemi takie prawa rodzicielskie, co wyzyskują naszą młodość i zdrowie!

MATKA

Wyuczyli cię faceci mówić — no — to ja ci pokażę, kto tu nad kim będzie przewodził. — Zdejm kapelusz.

ZOSIA

Niech mi mama pozwoli odejść po dobroci, bo i tak pójdę — — —

MATKA

*zdziera jej z głowy kapelusz i trąca kułakiem.*

Masz! — — Ja ci pokażę, że tak musi być, jak ja chcę! — — —

ZOSIA

Wolno mamie znęcać się nade mną, bo jeszcze nie ustanowili prawa, któreby się opiekowało takiemi nieszczęśliwemi dziećmi, jak my — — — Bo — gdyby tak na ulicy znęcał się kto nad najnędzniejszą szkapą furmańską, toby się ludzie ulitowali i nie dali pastwić się nad bydlęciem. A tu — to człowieka tak depcą — tak nim poniewierają! Tak wyzyskują!..

OLEŚ

*który tymczasem związał paskami książki, schował bieliznę w zawiniątko, zawdział na plecy płaszcz, a na głowę wsunął czapkę — zbliża się teraz ku drzwiom*

Kłóćcie się dalej i gódźcie się potem — ja odchodzę, bo bym tu przy was zidyociał — —

MATKA

Olek! — — Dokąd...?.. Ty — — —?

OLEŚ

Idę do kolegi. Tu — z wami — żyć nie sposób. Bądźcie o mnie spokojne. Nie zginę w świecie.

MATKA

Olek — —! — Zmarniejesz — — Nic z ciebie nie będzie.

OLEŚ

Owszem — — owszem! — — Tu, z wami żyjąc, dorobiłbym się może kiedyś, jako urzędnik pocztowy, lub skarbowy, dwóch tysięcy koron rocznej pensyi, ale przestałbym być człowiekiem! — Już mam dosyć tego rodzinnego życia! Bodajem był nie czekał tak długo!! Tu zgnić można w tej nędzy!!

*W tej chwili Zosia korzysta z tego, że Matka i Marynia zajęte Olesiem; zabiera kapelusz i chyłkiem wynosi się z pokoju.*

MATKA

Olek — na zatracenie idziesz.

OLEŚ

Na wolność — na swobodę! — — Puśćcie mnie! — — Skrępować się nie dam, jak ta tu! *Wskazał na Marynię — potem patrzy na nią i «robi» Jurka z dramatu Kisielewskiego: «W sieci».* Raz szarpnąć za te parciane postronki — raz jeden, a silnie! — *Swobodnie.* Bądźcie zdrowe!

MATKA

Olek! — —

OLEŚ

Puść mnie mama!..

MARYNIA

Mamo — może on ma słuszność. — Nie zatrzymujmy go. — Idź, Olesiu — — Ty przynajmniej bądź szczęśliwy.

OLEŚ

Bądźcie zdrowe! *Wybiega.*

MATKA

Olek!! — — —

MARYNIA

Nie zatrzymuj go mama.

## SCENA VI.

MATKA — MARYNIA potem OJCIEC.

*Chwila milczenia.*

MATKA

On chyba wróci. Nie miałby sumienia tak nas opuścić. *Po chwili.* Jak myślisz? Przecie on nie zabierze na pierwszego tych pieniędzy za lekcye, bo wie, że ja tu ledwie doczekać się mogę, żeby mi je przyniósł. — — Liczyłam na to, że właśnie te pieniądze dam gospodarzowi. Już za dwa miesiące zalegamy z czynszem. — — Olek o tem wie. — — On chyba tych pieniędzy dla siebie nie weźmie — — — nie miałby sumienia — — —

MARYNIA

A z czegóż sam żyć będzie? — — —

MATKA

On się wróci. Rozważy to sobie i wróci. — *Ogląda się.* Zośka? — — — Gdzież ona znowu poszła? *Chce iść do kuchni, w progu spotyka Ojca.*

OJCIEC

Gdzieżeście wysłały Olesia i Zosię z tobołkami? — — Najpierw Zośka — — —

MATKA

Zośka? — — —

OJCIEC

Wyniosła z domu jakieś spore zawiniątko. — Nie wtrącam się do was — — Nie pozwalacie — — — Ale jestem przecie ojcem i chcę wiedzieć — — —

MATKA

Zośka — — — *Idzie do kuchni — wraca — otwiera szafy jednę i drugą — zagląda.* Zabrała — — Wszystkie swoje rzeczy zabrała! — —

MARYNIA

A więc przygotowana i uplanowana ucieczka! — ? — ! — Jezu!..

MATKA

Co...?.. Nie rozumiem — — — *Do Ojca.* Tyś widział!.. Tyś widział jak wychodziła z domu!.. Tyś widział!.. O, Jezu!.. Co to za ojciec! — — — Tyś widział! — — — Dlaczegóżeś ją puścił? — —

OJCIEC

A bo ja to wiem, co się tu, u was, dzieje?— Mnie do niczego wtrącać się nie wolno. — Ty domem rządzisz — Ty dzieci pilnujesz. — — Ja tu nie mam żadnego głosu.

MATKA

Przestań!.. Teraz mi tu urągać będzie!.. Idź, szukaj jej!.. Może ją zastaniesz u tej dziewczyny z dołu. — —

OJCIEC

Gdzie?? — —

MATKA

U maszyniściny jej szukaj. — — Zośka chyba u nich się skryła. — — —

OJCIEC

A to idź tam. — — Ja nie pójdę — — —

MATKA

To nawet tyle od ciebie mieć nie można?.. Tyle nawet nie zrobi — — Sama wszędzie — — *Zabiera chustkę kocową i wybiega.*

OJCIEC *do Maryni*

A ty kiedy uciekniesz z domu?

MARYNIA

*osuwając się na krzesło*

Już nie mam sił — — —

ZASŁONA.

# AKT TRZECI.

*Ta sama dekoracya, co w akcie drugim. Ale na dworze letni, skwarny dzień. Otworzono więc okno w pokoju, lecz nie na oścież. Nawet świeżego powietrza tylko «troszkę».*

## SCENA I.

MATKA — MARYNIA potem OJCIEC.

MATKA

*leży na kanapie — głowę ma obwiązaną ręcznikiem*

Zdaje mi się, że ojciec puka do drzwi. — Idźże mu otwórz.

MARYNIA

*wychodzi i wraca po chwili*

Przyszedł — —

MATKA

I nic nie przyniósł? — —

MARYNIA

Dał mi osiemdziesiąt halerzy.

MATKA

Aż tyle! — — Zawołaj ojca — —

MARYNIA

Znowu kłótnia — — —

MATKA

Nie — — — Zapytam tylko, jakie on ma sumienie — — — Chora jestem, ruszyć się nie mogę. — — Zawołaj tu ojca. — —

MARYNIA

Zdaje mi się, że już wyszedł.

MATKA

To nieprawda! — Zawołaj go tu. Ciebie nic nie obchodzi. — — A widziałaś — był gospodarz. — — Słyszałaś, jak groził, że na bruk nas wyrzuci. Na dole, w sklepiku, winnam już trzydzieści koron. Nie chcą mi więcej skredytować. Ciebie nic to nie obchodzi. — —

MARYNIA

Więc... czego? — — Czego mama chce ode mnie?.. Oddawałam mamie każdy zarobiony grosz. Pracowałam, jak w jarzmie. Teraz wakacye. Cóż ja temu winna, że lekcyi żadnych nie mam? Dali mi te papiery przepisywać — — Już od

dwóch tygodni biegam za zarobkiem. — Cóż ja więcej mogę? — Dopóki było — rządziła mama. — Teraz, gdy znikąd niema zarobku, mama opuściła ręce bezradnie i choruje — —

MATKA

Już ci tego za wiele, że leżę na tej krótkiej kanapie, skurczona...

MARYNIA

To niech się mama położy do łóżka.

MATKA

Tam duszno w tej niszy — —

MARYNIA

Wsunę łóżko tu bliżej — do pokoju — —

OJCIEC

*który kręcił się koło otwartych drzwi i słuchał rozmowy, teraz staje u progu i mówi z urąganiem*

Łóżko do salonu?.. Doprawdy? — — A przecie się symetrya zepsuje. — To nie jest według *bon ton'u*. Jakże można..?!..

MATKA *podnosi się nieco*

Słuchaj-no... Chodź tu... Nie mogę tak z daleka... Chodź tu bliżej — — —

OJCIEC

No... no... mów — — Już usłyszę.

MATKA

Tu... chodź — — bliżej — —

OJCIEC

Boję się, że mi znowu trzaśniesz szklanką w głowę — —

MATKA

Tu... chodź!..

OJCIEC *podchodzi bliżej*

Przyniosłem osiemdziesiąt halerzy — — —

MATKA

Dość dużo — —

OJCIEC

Tyle zarobiłem. Trzeba za to było iść pół mili pieszo. Może nad wieczorem znowu coś zarobię — — —

MATKA

I cóż ja pocznę z osiemdziesięcioma halerzami? Czy oddać komu, czy za to co kupić? Czy doktora zawołać — — Chora jestem — — kłuje mnie w piersiach — —

MARYNIA

Może iść do apteki po rigoletowy plaster — — ? — —

MATKA

Nafty trzeba kupić. Mleka niema. Jezu... Co ja poczne? — — A tu gospodarz — — sklepiczarka — — —

OJCIEC

Przedewszystkiem do apteki poślij — — —

MATKA *do Maryni*

Dokąd idziesz?

MARYNIA

Do apteki po rigoletowy plaster — — —

MATKA

Nie potrzeba — — Zostań! — — Szkoda pieniędzy — —

MARYNIA

Ulży mamie. Przecie tak leżeć i kwękać — — Nam nie wolno chorować — — — Przynajmniej zdrowie — Niechże się mama ratuje, jak może.

OJCIEC

A bo jej to co jest? Niema pieniędzy, żeby się mogła szastać, to choruje — —

MATKA

Och!

MARYNIA

Proszę, niech-że mama na to się zgodzi, to zawołam lekarza — —

MATKA

Czem-że mu zapłacisz?

MARYNIA

Sprzedam co —

MATKA

Chyba poduszkę z łóżka! — — Nie pozwolę! — Nigdy!

OJCIEC

I poduszkę z łóżka trzeba sprzedać — — — Nie wiecie jeszcze co to prawdziwa nędza. Wy jeszcze nic nie wiecie — — —

MATKA

Dopóki ja żyję — do tego nie przyjdzie — —

OJCIEC *do Maryni*

I twoje lekcye się skończyły — — — Powiedziałem, że wszystko się skończy — — *Do Matki.* Liczyłaś na to, że syn — — A syn po świecie się ugania — — — Córka jedna — — —

MATKA

Przestań!! — —

MARYNIA

Niech ojciec ustąpi.

OJCIEC

Znowu mnie wyganiacie — — Dobrze — — pójdę — — —

MARYNIA

Ależ — — Może ojciec zostać, tylko — — — Zawsze na kłótni kończyć musicie każdą rozmowę...

MATKA

Boże!... co to za człowiek!... Takeś już upadł moralnie, że się już nigdy nie podniesiesz i nas za sobą pociągniesz — — — Broniłam się tej nędzy — — broniłam — — —

OJCIEC

Sama ją sprowadziła — — —

MATKA

Maryniu!... O!... duszę się! — —

MARYNIA

Niech ojciec ustąpi. *Gdy ojciec wychodzi.* Uspokój się mamą — —

MATKA

Poszedł?

MARYNIA

Tak — —

MATKA

Zapewnie w kuchni siedzi — —

MARYNIA

Ależ nie — — — Wyszedł — —

MATKA

Zamknij drzwi. Jeszcze kto tam wejdzie... *Urywa, bo oto wbiega Lunia.*

## SCENA II.

MATKA — LUNIA — MARYNIA.

LUNIA

Ciotka przyjdzie!... Ciotka przyjdzie! *Do Maryni.* A chciałam się z tobą założyć. Aha! —

MATKA *do Maryni*

Widzisz Maryniu, że ja przecież mam słuszność, gdy powiadam, że Rawiczowa ma dobre serce. Jeśli ją trafić w słabą stronę, gotowa ostatni grosz oddać — — —

MARYNIA *do Luni*

Lunia... pójdziesz na dół po mleko — — —

LUNIA

Nie chcę. Mleczarka powiedziała, że już więcej na kredyt nie da.

MARYNIA

Masz pieniądze — — —

LUNIA

Tata przyniósł?... A widzisz!... On zawsze lepszy dla was, aniżeli wy dla niego — — —

MATKA

Luśka! Gdzieżeś się ty goniła? Powiedz prawdę. U ciotki tak długo nie siedziałaś — —

LUNIA

Wstąpiłam z powrotem do koleżanki — —

MATKA

Znowu!... Zakazałam ci raz na zawsze!...

LUNIA

W domu się przykrzy — mama powiada, że ją niecierpliwi moja gadanina! Marynia nie ma czasu rozmawiać ze mną — — Przecie nie jestem niemrawym psem!

MATKA

Chcesz być taką, jak Zośka?

LUNIA

A cóż to ona? Ja widziałam —

MATKA

Milcz! — —

LUNIA

*Odchodzi do okna i wygląda na ulicę.*

MARYNIA

Chodź do kuchni... Dam ci garnek na mleko — —

LUNIA

Ciocia Rawiczowa!... Zajechała w dorożce...

MATKA

Ach — — — Maryniu — — — Luśka... zamknij okno. Ciotka boi się przeciągów — — Prędzej — — Maryniu — — — wyjdź — — Przywitaj się — — pocałuj ją w rękę — — — Moje dziecko... uczyń to dla mnie — — *Marynia, a za nią Lunia odchodzą. Matka czyni kilka gorączkowych ruchów. Wchodzi Ciotka. Za nią w kilka sekund później ukazuje się Marynia.*

## SCENA III.

MATKA — CIOTKA — MARYNIA i bez MARYNI.

CIOTKA

No? I cóż porabiasz?... Chorujesz w taki piękny czas? *Kładzie pakunki i siada.* Gdzież twoja mała?...

MARYNIA

Lunia zeszła na dół kupić mleka dla mamy.

CIOTKA

*Ignoruje Marynię — zwraca się do Matki.*

Przyniosłam flaszkę wina dla ciebie. *Do Maryni.* Podaj kieliszek. — *Do Matki.* Zobaczysz, jak ci to dobrze zrobi. *Rozpakowuje drugą paczkę.* Tę połowę tortu — *Do Maryni.* Podaj noża. *Do Matki.* ...to ci już moja Stefa przysyła. Powiem ci prawdę: miałam nie przyjść tu do ciebie, ale moja Stefa — Ach, co to za idealna dziewczyna!... „Niech mama idzie!... Mama wie, że jestem zabobonną. Jeśli mam być szczęśliwą dziś, to niech z naszego powodu nikt nie płacze — —" To są jej słowa. Zapakowała mi tę butelkę wina i połowę tortu i nie odstąpiła, aż jej dałam słowo, że tu u ciebie dziś będę.

MATKA

Niech jej to Bóg wynagrodzi.

CIOTKA

Tak... tak — Proście Boga, żeby była szczęśliwą — — No... napij się — — — *Podaje kieliszek wina.* I cóż? Dobre?... Prawdziwe reńskie. *Podaje kawałek tortu.* Mój mąż dostał w prezencie kilka takich butelek. A przyda się nam, bo spodziewamy się właśnie dzisiaj krewnych konkurenta mojej Stefy. — Szkoda, że chorujesz. Poprosiłabym cię, żebyś przyszła. Moja kucharka niema pojęcia, jak się faszeruje szczupaki, a ty to tak znakomicie umiesz przyrządzić — —

MATKA

Wstanę. — Jeśli mogę ci się czem przysłużyć — — — Dowlokę się — — —.

CIOTKA

Ależ nie trzeba — nie. Już sobie jakoś poradzę — — — *Zwraca się do Maryni.* No... a cóż z twojemi lekcyami?

MARYNIA

Teraz są wakacye — —

CIOTKA

A inne jakie zajęcie? — — Z tego, co tu w domu kuchnią się zajmiesz, twojej matce w kłopotach to nie ulży — — —

MARYNIA

Codziennie po kilka godzin biegam od jednego biura pracy do drugiego. Nigdzie zajęcia znaleźć nie mogę.

CIOTKA

Zapewnie zanadto przebierasz. — — Znam twoją pychę — — —

MARYNIA

O... *Przytłumiony, gorzki śmiech.*

CIOTKA

Moja droga — tylko bez scen! — Wychowania ani taktu, to już żadne z was nie posiada. *Zwraca się do matki, nie zważając na to, że Marynia wychodzi do kuchni.* Tak mnie ta twoja mała zirytowała, że tylko z trudnością zapanowałam nad sobą, żeby jej czegoś przykrego przy służącej nie powiedzieć — —

MATKA

Lunia?!... Ależ to takie nad wiek rozgarnięte dziecko?! — —

CIOTKA

Moja droga — zdaje mi się, że jeśli ja twierdzę inaczej — — —

MATKA

Przebacz — — —

CIOTKA

Stałam w kuchni przy piecu; pokazywałam kucharce, jak się przyprawia sos do majonezu; gdy wpada ta twoja mała i opowiada na głos, przy służbie, jaka tu u was nędza, żeś ty chora, że niemasz na lekarstwa, a co drugie słowo: „niech ciocia przyjdzie do mamy, niech ciocia przyjdzie koniecznie". — — — I to wszystko w kuchni — przy służbie — — —

MATKA

— — — — ? ? — Pojąć nie mogę — — Lunia... taka rozsądna — —

CIOTKA

Już tyle razy zapowiadałam, że się was wyrzeknę, jeśli tak dalej kompromitować mnie będziecie tem pokrewieństwem. Mój mąż czyni mi z waszego powodu gorzkie wymówki i nie dziwię mu się wcale, ani mu tego nie mam za złe. Dawniej mogłam go udobruchać zapewnieniem, że mimo biedy, w jakiej żyjecie, wychowałaś dobrze twoje dzieci. — Teraz — cóż mu powiem? Ciągle w strachu żyję, aby

się czegoś o twojej Zośce nie dowiedział. — A teraz — — twój syn — — —

MATKA

Oleś wyjdzie na ludzi — zobaczysz. — — — Zdał maturę z odznaczeniem — —

CIOTKA

To i cóż z tego, skoro przystał do socyalistów i wdaje się z takiemi osobami, które doprowadzić go mogą do zguby — — — Gdyby był porządnym chłopcem, siedziałby tutaj i oddawał wam każdy zarobiony grosz. A tak — to on się jeszcze rozłajdaczy i — — — *Machnęła ręką.*

MATKA

Pisałam do niego. Może on tu dziś jeszcze przyjdzie — —

CIOTKA

Staraj się przemówić do jego sumienia. Przedstaw mu złe skutki takiego życia „samopas". Może się jeszcze nawróci na drogę obowiązku.

MATKA

O, mój Boże!... Gdybyż to Oleś chciał wrócić do domu!... Ale on tego nie uczyni — — A tu nędza ostatnia. Już poradzić nie umiem.

Głowa mi pęka — — Choruję ze zmartwienia — — — —

CIOTKA

Moja droga — ja ci także pomódz nie mogę. Twoją kartkę, coś mi to Lunią posłała, spaliłam natychmiast, żeby się nie dostała do rąk mojemu mężowi. I to jest także jeden z głównych powodów, żem tu dziś do ciebie przyszła. Chciałam ci to kategorycznie oświadczyć, że w przyszłości wypraszam sobie takich listów. Mogłabyś mnie narazić na ogromne przykrości. — Pisałaś mi, żebym cię poratowała i przysłała 200 koron. — Ty chyba nie zdawałaś sobie sprawy z tego, czego żądasz. — Czy ty wiesz, co to za suma na dzisiejsze ciężkie czasy? — — Dwieście koron — to znaczy 25 lekarskich wizyt mojego męża. Pomyśl, ile pięter on musi przebyć, zanim zbierze taką kwotę. — Mamy córkę, którą trzeba wyekwipować i stosownie wydać zamąż, — a to kosztuje. Trafia się obecnie konkurent; czynię co mogę, aby go zatrzymać — — Dzisiejsze przyjęcie wyciągnie nam z kieszeni, prócz toalety dla Stefy — sto koron — — — — Musicie sobie jakoś sami radzić, bo ja nie mogę. Bóg świadkiem — nie mogę. — — Myślałam, że twoje dzieci będą się jakoś starały utrzymać ten dom

jako tako — — Okazało się, żeś je źle wychowała — Do mnie urazy mieć nie możesz. — — Przyszłam wtedy — przemówiłam do ich rozumu, do serca — — Nie skutkowało. — — Niech cię Bóg pocieszy, moja siostro — — — No... no... nie płacz — — — To nerwy... Tylko się nie poddawaj chorobie — — *Wstaje.* Jeśli chcesz, to ci przyślę mojego męża — — —

MATKA

Nie trzeba. Dziękuję ci.

CIOTKA

Masz słuszność! — Ja sama ani w doktorów, ani w lekarstwa nie wierzę. Jeśli tylko nie masz gorączki, to lekarz niepotrzebny. — Wino, które przyniosłam, lepiej ci zrobi, aniżeli jakie lekarstwo. — No — — bądź zdrowa! — — Muszę spieszyć do krawcowej; ta małpa gotowa jeszcze zrobić mi siurpryzę i nie ukończyć dla Stefy sukienki na dzisiejszy wieczór — — — Ach — — nie masz pojęcia, jakie mam zmartwienie!... Kucharka pewnie mi tam coś przyswędzi!... Bądź zdrowa! — — — Aha — — Byłabym zapomniała. Przyślij do mnie jutro rano twoją małą. Zapewnie zostanie dzisiaj coś ze stołu. Chętnie się z wami podzielę. — Do widzenia!... A módlcie się tu za pomyślność

Stefy — — — Bądź zdrowa! *Całuje ją.* Nie wstawaj. —

MATKA

*podniosła się z kanapy i woła*

Maryniu!... Lunia!...

CIOTKA

Daj spokój!... Daj spokój!...

MATKA

*zwlokła się przecież z kanapy i odprowadza ciotkę*

Gdzież ta Marynia?...

CIOTKA

Daj spokój!... *Wychodzi.*

## SCENA IV.

MATKA potem MARYNIA.

MATKA *u progu*

Ach — moja głowa — —!

MARYNIA *wchodzi*

Mleko zaraz się zagotuje — — —

MATKA

Gdzieżeś była? Ciotka odeszła. — Nie było komu odprowadzić ją do drzwi. —

MARYNIA

Dobrze, że już sobie poszła — — — Hipokrytka — — —

MATKA

Uprzedasz się do niej niesłusznie. Patrz — przyniosła wino — — tort — —

MARYNIA

Ściągnięte z zaręczynowej uczty panny Stefy — — —

MATKA

Myślałam, że przecież choć z pięćdziesiąt koron, a da. — Ale nic? — — — Nic? — *Wyczerpana, znużona, siada na kanapie.*

MARYNIA

Nie było sposobności zaimponować komuś szczodrobliwością, więc po cóż narażać się na koszt! *Śmieje się gorzko — potem idzie do kuchni i wraca za chwileczkę, niosąc szklankę mleka.*

MATKA

*nie zważa i mówi w zamyśleniu.*

Zawiodła jedna nadzieja. — — — Może Oleś dopomoże — — — O — Jezu — — —

MARYNIA

Niech-że się mama napije mleka, póki ciepłe.

MATKA

Nie mogę. Nie lubię mleka.

MARYNIA

To może zasypać trochę grysiku?... Pójdę do kuchni i przyrządzę. — — —

MATKA

Już ja to sama uczynię. Wróć do twoich papierów. — Im prędzej skończysz przepisywać te bruliony, tem wcześniej otrzymasz pieniądze, a tu — każdy grosz potrzebny. — Jadłaś co?...

MARYNIA

Tak — —

MATKA

A Lunia? — —

MARYNIA

Dałam jej szklankę mleka i chleba — — —

MATKA

*nalewając wino w kieliszek.*

Może się napijesz? — — —

MARYNIA

Nie — —

MATKA

Trochę — —

MARYNIA

Ależ. — — *Odlewa wino w butelkę.*

MATKA

To kawałek tortu. — — —

MARYNIA

Dziękuję za te specyały kochanej cioci. — —

MATKA

To dam Luni — *Zabiera kawałek tortu i kieruje się w stronę kuchni* Lunia — —! *znika za drzwiami.*

## SCENA V.

MARYNIA potem LUNIA.

MARYNIA

*zanosi szklankę z mlekiem do kuchni — za chwilę wraca — chowa do szafy tort i wino — potem zabiera się do przepisywania papierów.*

LUNIA

*wchodzi — minka tajemnicza — przysuwa się do Maryni.*

Maryniu. — — Masz. — — Schowałam dla ciebie. Ugryzłam tylko taki mały kawałeczek —

MARYNIA

Co to?

LUNIA

Czekoladki. Cała paczka. Prawdziwe „suchard". — — —

MARYNIA

Skąd?... Od kogo to? — —

LUNIA

A nie powiesz mamie? — —

MARYNIA

Lunia... ty wiesz, że nie należy niczego ukrywać przed mamą. — — — Powiedz prawdę.

LUNIA

Kiedy mama nie pozwala, żeby wspominano o... o... Zosi. — — Aha!... — —

MARYNIA

Widziałaś się z Zosią? — —!? — —!

LUNIA

Tak. — Spotkałam ją na ulicy. — Szła z jednym panem, który miał na głowie taki bardzo szeroki kapelusz i ubrany był w aksamitną kurtkę. — Zosia odeszła od tego pana i przystąpiła do mnie. Pytała się o ciebie, o tatę — — o Olesia. — — Bardzo ją to zmartwiło, że mama chora. — —

MARYNIA

Więc Zosia jest w Krakowie. — — Nie wyjechała nigdzie — — —!?

LUNIA

Kupiła mi czekoladki i kazała wszystkich pozdrowić. Schowaj czekoladki, żeby mama nie widziała. — — —

MARYNIA

Zjedz to. — — *Oddaje paczkę.*

LUNIA

Nie chcesz? *Zmartwiona — ale chowa czekoladki — a jedną pakuje do buzi.*

*W kuchni słyszeć się daje wołanie matki:* „Zosia"! — —

LUNIA

*słucha — potem radośnie.*

Zosia przyszła!... Zosia! *Biegnie ku drzwiom.*

## SCENA VI.

ZOSIA — MATKA — LUNIA — MARYNIA.

ZOSIA

*Skromnie — szykownie ubrana — piękna — kipiąca życiem — zwraca się do matki idącej za nią — gdy wchodzi do pokoju.*

Nie chcecie się ze mną przywitać? — — No — niech-że mama nie broni i da się w rękę pocałować. Proszę mamy. — — *wchodzą przez próg — Lunia za niemi przymyka drzwi kuchni.* Przecie ja nic tak okropnego nie zbroiłam i wie mama — — no... od razu powiem wszystko: Wychodzę za mąż i przyszłam was zaprosić na mój ślub — — A co? Teraz mnie już mama pocałuje? — *Do Maryni.* I ty! — — Ty także. — — — *Całuje Marynię.* A widzicie! *Całuje matkę i siostry po kolei.* Otóż to tak. — Wychodzę za mąż — — a co?... Nie spodziewałyście się tego po mnie?...

MATKA

I któż to?... Za kogo?...

ZOSIA

Przyszły zięć mamy nazywa się Fredek Wieruszowicz. — —

MARYNIA

Ten sam, co to na ostatnim konkursie malarskim — —?

ZOSIA

A jakże! — — Sławny, młody i piękny. Tylko, że — biedny. — — Ale co tam! Będziemy bardzo, bardzo szczęśliwi. — —

MATKA

A gdzież ty... do tego czasu — — —?...

ZOSIA

A u Fredka. No — — wy się tem oburzycie — ja wiem! Ale moja mamo — —! — — Fredek mnie kocha i nigdy mnie nie opuści. — Ja Fredka także kocham. — I myśli mama, że ja o ślub się napieram? — — To on tak. — Ja wiem, że nie ślub wiąże, ale kochanie, jeśli szczere.

MATKA

Głupstwa pleciesz. — Św. Sakrament małżeński — — —

ZOSIA

Już wiem... już wiem...! Mama związała się z ojcem przez Sakrament święty i co?... Odkąd zapamiętać mogę, ciągle w niezgodzie-ście z sobą żyli. — To większy grzech. — — —

MARYNIA

Zośka!... — Jakaś ty bez taktu!...

ZOSIA

Mówię prawdę! — Mój Fredek za to mnie właśnie kocha, że jestem szczera, naturalna, swobodna. — — I wiesz, co ci powiem?

— — Tyś się właśnie dlatego spodobać nie umiała, bo zawsze byłaś niby nie taką, jaką jesteś. Taka jakaś teatralna... no!... — — Nie gniewaj się — to z dobrego serca tak mówię, żebyś się tej maniery wyzbyła, a zobaczysz, że się i ty spodobasz. — — I jeszcze jedną rzecz ci powiem: Zauważyłam, że mężczyźni wtedy dopiero starają się o jaką kobietę, gdy widzą, że ona się drugim podoba. Doprawdy. — Kiedy się mój Fredek dowiedział o tem, że ten i ów za mną biega — haj-że i on też. — Poszło, jak w mazurze, kiedy się zaczyna „odbijanego". *Śmieje się.*

LUNIA

*która słuchała ciekawie — teraz:*

Ktoś drzwoni. — — —

ZOSIA

Może to ojciec?... Powiedzcie mu zaraz, że za mąż wychodzę, to mi zaoszczędzicie przykrej sceny.

MARYNIA

*wychodzi do kuchni otworzyć drzwi.*

MATKA *do Zosi*

To ty może z tem zamążpójściem tylko tak dla zamydlenia oczu — — —

ZOSIA

Ani mi to w głowie! — — — Prawdę powiedziałam — — — Przekona się mama. — Niezadługo już. — — —

MATKA

*zwraca się twarzą ku drzwiom — w oczekiwaniu — posłyszała głos syna.*

Oleś! *robi kilka kroków w głąb.* Przyszedłeś! O, niech ci to Bóg zapłaci! *Całuje wchodzącego Olesia.*

## SCENA VII.

MATKA — ZOSIA — OLEŚ — LUNIA — MARYNIA.

OLEŚ *w głębi.*

Myślałem, że zastanę same trupy. — No — umie też mama nastraszyć! — —

MATKA

Dopiero przed chwilą zwlekłam się z pościeli. O, jeszcze tam, na kanapie, leży poduszka.

ZOSIA

A ze mną się nie przywitasz? *Zbliża się do Olesia.*

OLEŚ

Zosia!... Ty!...

MATKA

Zosia wychodzi za mąż i to za artystę malarza. — — Maryniu... ty go podobno znasz z imienia. — —

MARYNIA *do Olesia.*

Wieruszowicz.

OLEŚ *do Zosi.*

Ty — za Wieruszowicza — —?

ZOSIA

A cóż to ja jestem?... Dlatego, że nie brzdąkam na fortepianie i nie mówię kiepsko po francusku?... Fredek powiada, że mam zdrową, niezepsutą duszę i on takiej właśnie kobiety szukał. — —

OLEŚ

No — ja tam w to wasze małżeństwo na seryo nie bardzo wierzę. — Ale to mi wszystko jedno.

MATKA

Jakto?... Mamyż się zgodzić?...

OLEŚ

Moja mamo, tylko bez melodramatycznych scen! — — Zośka chce żyć i rwie się do życia. Nie mogliśmy jej zabronić, aby poszła własną ścieżką. I teraz niczemu przeszkodzić nie będziemy mogli. — —

ZOSIA

Myślicie, że się kiedyś tak puszczę?... O — za nic!... Prędzej skoczę w Wisłę!... — Jeśliby mnie kiedy Fredek opuścił. — — — Ale on — — Nie — — Nigdy!... My się szczerze kochamy. *Patrzy w zimne nieruchome oblicza rodziny.* E... nastraszyliście mnie. — Takie z was puszczyki. — Sami nie umiecie być szczęśliwi i drugim zatruwacie każdą radość. — Przyszłam do was z weselem i radością w duszy; a wy — — — Jabym tu przy was, jak ten korniszon — — Nie — nie chcę. — Tam słońce jest, a wy tu nawet okien nie otwieracie, żeby wpuścić trochę świeższego powietrza. Bądźcie zdrowi! Nie mogę tu dłużej u was — — Tu — przykro żyć! Bądźcie zdrowi! — —

MATKA

Zośka! *zatrzymać ją pragnie.*

ZOSIA

Nie! Nie chcę! *wybiega.*

## SCENA VIII.

OLEŚ — MATKA — LUNIA — MARYNIA.

MATKA *po chwili.*

Daliście jej tak odejść. — —

LUNIA

Ja — — nie — —! — —

MATKA

Teraz... jedno wobec drugiego, jak obce. — Jakbyście sobie nie rodzeństwem byli! — — O, ja wiedziałam, że się na tem skończy — skoro każde w inną poszło stronę! — —

OLEŚ

O!... to nie dlatego! — — Krzywda i złość żarły nas tak długo, aż wygryzły nam serce. Każde z nas patrzało na mękę drugiego z żalem wprawdzie, ale i z zawiścią, jakby chciało powiedzieć: Usuń się — a będzie mnie lżej. Oto, co nas żarło! — — Krzywda i złość! — — —

MATKA

Oj, synu, synu!... Socyaliści na złą drogę cię sprowadzili!... Bluźnisz Bogu — — — kościołowi — — rodzinie. — — —

OLEŚ

Rodzina! — Czemże ona dla takich dzieci, jak my? O, ja poznałem to życie rodzinne! Ojciec upija się i bije matkę. — — Dzieci zamęczają się, by pracą ponad siły starczyć na potrzeby domu! — — Wyzysk młodych sił! Nadużywanie dobrej wiary! Zbrodnia, sankcyonowana przez tradycyę! Oto, rodzinne życie nędzarzy!

MARYNIA *w zamyśleniu.*

Zrodzone w nienawiści — — wychowane wśród przekleństw i złorzeczeń — — zwiędłe w cieniu troski, lęku i wstydu. — — — O, jakie to życie było dla nas straszne! — — —

OLEŚ

Rodzinne życie! — — — W takich warunkach, jak obecne, rodzina przestaje być symbolem najpiękniejszych uczuć i najwznioślejszych celów człowieczych, a zamienia się w katorgę, skąd na świat idą coraz to nowe widma grzechów... — —! — — —

MATKA

Boże... Boże!.. I to mówią dzieci!.. I tak mówią dzieci do matki swojej...!..

OLEŚ

Myśmy nigdy nie byli dziećmi!.. Kto nie miał szczęśliwego dziecięctwa, ten już ani tkliwym, ani rzetelnie wesołym nie będzie nigdy!

O! Nie bylibyśmy tacy wobec rodziców, gdybyśmy na tę waszą nędzę nie byli patrzyli od dziecka — — — gdybyśmy się nie byli chowali w domu, ale korzystali z bezpłatnego, publicznego wychowania! O! Należy odebrać dzieci tym, co je wychować nie umieją i nie mogą! Niech je wychowa społeczeństwo! — —

MATKA

— —? — Więc ci — — socyaliści pozbawić chcą biedne matki i tej pociechy, jaką się ma, gdy w domu są dzieci?! — — —

Przecieżby te dzieci u obcych i przez obcych wychowywane — — przestały kochać swoich. — — —

OLEŚ

Ależ! — — — O — — tak! — — Tak! — — Ależ to właśnie najwznioślejsze rozwiązanie kwestyi!...

Z tych dzieci, wychowanych w publicznych zakładach — kosztem całego społeczeństwa — — wyrosną kiedyś ludzie, którzy będą obcych kochali, jak rodzinę, a rodzinę swoją, nie więcej — niż tych obcych. — —

O — — tak! — — Nie będzie już obcych! — — Tylko człowiek i człowiek! Wszyscy tam — *szeroki giest w stronę ulicy — przyczem pchnął okno.* Ci obcy — — to bracia moi i siostry moje! — — Wszyscy! *Milknie rozpłomieniony wielką ideą miłości wszechludzkiej.*

MARYNIA

*po chwili po zamyśleniu tęsknem — z twarzą pełną łez.*

Kiedyż się to spełni? — — — —

OLEŚ

— — — I wtedy dopiero stanie się wedle słów ewangelisty! — — Gdy ustanie krzywda! — — Gdy człowiek człowieka uszanuje. — — — Gdy zamiast litować się nad nędzarzami — ludzie dążyć będą coraz wyżej i wyżej i tych nędzarzy pociągną z sobą na wyżyny — — — Wtedy zbliży się dzień panowania królestwa Bożego na ziemi. *Chwila milczenia.*

MATKA

Mój Olesiu, z tego, coś ty tam w książkach wyczytał, a teraz przed nami rozpowiadasz, my tu nie będziemy mieli zapłacić komornego, ani długi nasze tem się nie umorzą. — — — —

Myślałam, że mi jakoś pomożesz, poradzisz. — Gospodarzowi zalegam z czynszem za cztery miesiące. Ma prawo bez wypowiedzenia wyrzucić na bruk. Teraz sklepikarce na dole winnam trzydzieści koron. — Na domowe wydatki, skarz mnie Bóg, czy mam jaki grosz. —

OLEŚ

A więc — —? — — Chyba mama nie przypuszcza, że ja. — Skąd? — — Musiałem sobie ubranie sprawić — przecież w mundurku chodzić po maturze nie będę. Za mieszkanie dałem 10 koron. — — —

MATKA

A widzisz!... Gdybyś tu, u nas. — —

OLEŚ

Nie! — Tu, z wami, mieszkać nie mogę. — —

MATKA

A zatem nie chcesz dopomódz?

OLEŚ

Ależ!... Niech-że mama wniknie także i w moje położenie. — Parę reńskich mógłbym skądś wytrzasnąć. — —

MATKA

To tyle co nic. — —

OLEŚ

Jakże mama się rządziła, że aż tak!... — — Ale prawda!... Nieopatrzność nie jest tu grzechem. — „Jakoś to będzie" i żyje się z dnia na dzień i wydaje się więcej, aniżeli się ma. — —

MATKA

Każdy dzisiaj nad stan żyje.

OLEŚ

A tak! — — Mieszczaństwo zamieniło się w burżuazyę, a my tę burżuazyę chcemy naśladować w pańskości — — O, tak... tak... do całej niedoli proletaryatu — jeszcze i to — *Po chwili.* Ha — — — Chce mama posłuchać dobrej rady, to sprzedajcie te wszystkie graty i spłaćcie za nie długi. Marynia niech jedzie na guwernerkę — Lunię zabierze Rawiczowa. Może — skoro tak obiecała, nie cofnie się teraz. Mama z ojcem zamieszka gdzie na przedmieściu. Na wasze potrzeby ja z Marynią — — *Gdy Matka się żachnęła.* Innego wyjścia z tego położenia nie ma. — Dłużej zamęczać Maryni

nie można, bo jeszcze w uporczywszą chorobę wpadnie. Naładowaliście na jej plecy kosz pełen kamieni i każecie jej dźwigać go pod górę. — Gdyby nie mama, onaby może gdzie za mężem była szczęśliwa — — —

MATKA

A więc to ja... — — — Powtarzacie za ojcem. — — Ja tylko waszego dobra — — — Ale dziękuję ci Olesiu za dobrą radę. Nie będę dłużej — — — Macie słuszność — — —

OLEŚ

Cóż? Czegoż?... Bój się mama Boga — Jakże tak można poddawać się nerwom — — No... niech-że się mama uspokoi — — — Ja nie mogę na to patrzeć — — Maryniu... proszę cię — — — Moja mamo... — Ja... u kolegi pożyczę — — — No — — wiele tego nie będzie — — Może 20 koron — — No — uspokój się mama... *Całuje Matkę w rękę.* Pójdę teraz do kolegi. Odszukam go. — Za godzinę będę z powrotem. — A jeśli nie macie w domu — — to ja tymczasem — — — *Wyjmuje z portmonetki pieniądze drobne, kładzie na stół potem sięga po kapelusz.* Do widzenia! Ja tu najdalej za dwie godziny. *Wybiega.*

## SCENA IX.

MATKA — MARYNIA — LUNIA potem OJCIEC.

MARYNIA *do Luni*

Zamknij za Olesiem drzwi. *Zabiera się do pisania.*

MATKA

*Powoli otwiera szafę, ubiera pelerynę, kapelusz.*

LUNIA, *wracając z kuchni*

Dokąd mama się wybiera?

MARYNIA

Mamie się zdaje, że powinna koniecznie usłużyć ciotce, choć sama ledwie na nogach utrzymać się może.

LUNIA

Mama do cioci idzie?

MARYNIA

Zaprosiła przecie mamę, bo ma gości i potrzeba ugotować dla nich faszerowane ryby, a nikt tego tak dobrze przyrządzić nie umie, jak nasza mama — — —

MATKA

Ja nie do ciotki — — — Tu... dłużej niema co — — — Wychowałam was, jak umiałam — —

Dla siebie przecie najmniej — — — Ale już dość. — Wam będzie lżej — — — — Kosz, pełen kamieni pod górę dźwigałaś z mojej winy — — —

MARYNIA

Ależ mamo! — — Co mamie się znów przywidziało — — Mama chyba ma gorączkę. — Niech-że się mama położy. — Lunia, pomóż mi zaprowadzić mamę do łóżka — —

MATKA

Puść — — Nie chcę — — Sprzedajcie wszystko, ale nie przy mnie — — — Tu — każdy sprzęt — — — Dopóki razem z dziećmi — — Ale żyć sama z ojcem — — — Ja z nim — — — Jeśli tyle lat — — to tylko dlatego, że dzieci — — — — Ale sama z nim — — Nie chcę — — Bez was — — Sama — To już śmierć jest słodszą — — — Bóg mi przebaczy — — Jeśli śmierć nie przychodzi w czas stosowny, to trzeba — —

MARYNIA *zrozumiała*

Mamo!... Mama o czemś strasznem pomyślała!... Jak... mama mogła!...

LUNIA

Mamo — — *Płacząc tuli się do niej.*

MARYNIA

Mama już nigdy — — Ja — mamy nie puszczę — — — Niech mama tę straszną myśl precz odegna — — —

MATKA

Wy mi ją znowu przypomniecie — — — Wy mi ją wnet znowu — — — —

*Ktoś silnie, uporczywie zaczyna się dobijać do drzwi w kuchni.*

MARYNIA

Lunia, otwórz ojcu; to on — — —

MATKA

On — — — —

MARYNIA

Mamo — — — —

OJCIEC

*Wchodzi po chwilce, patrzy – potem:*

Co jest?... Hę?... No?... Co się stało? — —

*Milczenie. Ktoś jęknął i głos ten zabrzmiał tak, jakby wśród ciszy pękła struna harfy.*

ZASŁONA.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

36
414116/1018

Antykw. Nowak
Wira 12.10.80
-360-

BP

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
1463112
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018601808